POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 3-go sierpnia 1940r.*** **Rok II. Nr. 21.**

Hasło tygodnia:

Pamiętajmy, że wszędzie, gdzie nie sięgnęła jeszcze drapieżna przemoc niemiecka patrzą na nas, jako na rycerzy wolności, jako na ludzi nieskazitelnego honoru. Tak patrzą na nas tu, w tym kraju gościnnym, w kraju, w którym szanuje się tradycję i nade wszystko ceni prawość charakteru. Żadnym, najmniejszym czynem nikomu z nas nie wolno umniejszać tej chwały, którą kupiliśmy krwią i cierpieniem.

Po podpisaniu umowy

I

Nowa umowa polsko-brytyjska została podpisana. Jest ona wynikiem zabiegów Wodza Naczelnego i powołanych przezeń współpracowników. Reguluje nowy pod względem wojskowym stan rzeczy i nadaje mu podstawę prawną.

Z uchodźców, przybywających wprawdzie nie bezładnie i nie bez planu, ale nieoczekiwanie, stajemy się znowu armią. Stosunkowo nikła jej liczebność nie jest sprawą rozstrzygającą. Rozstrzygające jest jej znaczenie polityczne. Ciągłość polityczna prawowitego Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, salwowana po zeszłorocznej katastrofie wrześniowej, została zachowana. I nie tylko zachowana, ale oparta o własną siłę zbrojną. Armia tworzona w Anglii jest wojskiem sprzymierzonym i suwerennym; przysięgę składa się na wierność Rzeczypospolitej; wszystko w niej jest polskie: sztandary, komenda, dowództwo i obyczaje.

Tej siły zbrojnej nikt nie może lekceważyć i nikt w Anglii nie lekceważy. Zdała ona już egzamin na polach bitew, zachowała w całości lub części zwarte jednostki. Wykazała moc przetrwania w chwili załamania francuskiego. Posiada—rzecz to nad wyraz ważna—zdolność rozrostu.

Miecz Polski walczącej nie został złamany. Ci, którzy myślą inaczej, poddają się mimowiednie podszeptom słabości albo gorzej-wpływowi agitacji wroga. Stają się bezradnymi sojusznikami osławionej "5-ej kolumny." Zmniejszają czynnik mocy, a stwarzają czynnik rozkładu. Są bezwzględnie szkodliwi.

Muszą być plenieni. Niewątpliwie zostaną unieszkodliwieni zarządzeniami władz. Ale niezależnie od tego muszą być wyobcowani przez zbiorowość. Zwarta pod tym względem opinia nie może cofać się przed zdecydowaną postawą. Szkodliwa jednostka powinna być napomniana, skarcona i wreszcie usuwana poza obręb zdrowej zbiorowości żołnierskiej. Nie może tu być miejsca na bierną tolerancję, czy na teoretyczny respekt cudzego zdania. Jest wojna. Kto nie jest z nami, jest przeciw nam. W każdym razie nie ma dlań miejsca w naszych szeregach.

Gdy sobie z tego zdamy sprawę, gdy za przeświadczeniem przyjdzie czyn, staniemy się znowu ideową jednością, która potrafi trwać i przetrwać. W obecnych warunkach przetrwanie jest połową zwycięstwa.

II

"Wojną nerwów" nazywano już tamtą wojnę. Rzucano z obu stron frontu miliardy na stworzenie pocisków psychicznych, stokroć zjadliwszych, niż najzjadliwsze gazy. Niemcy psychicznie zdruzgotali carską Rosję. Sami wreszcie ulegli w wojnie nerwów. Nie tylko huraganowy ogień baterii francuskich i angielskich położył kres ich mocy. Wkradła się niewiara we własne siły, znużenie, apatia i słabość.

Rzecz jasna, że nauka nie poszła na marne. Niemcy uczynili z niej punkt wyjścia w akcji przeciw aliantom. Jak wynika z kampanii pseudo-naukowej i prasowej, równolegle z akcją wzmagania siły własnej szła akcja podkopywania się pod siły moralne przeciwnika.

W Polsce działano głównie dywersją, bo to była droga najłatwiejsza i najskuteczniejsza. We Francji korzystano ze swobód obywatelskich, żeby obudzić we Francuzach niezdolność do wojny. Cel osiągnięto. Młody Francuz został psychicznie rozbrojony.

Jednocześnie działano i na kraje neutralne, łamiąc je groźbą, lub terrorem. Kraje nie wojujące spostrzegły się za późno, że w potężnym pożarze dziejowym płoną i te domostwa, które graniczą z ogniskami pożaru. Nie starczą domowe studnie, nie starczą patentowane Minimaxy; trzeba, by zbiorowymi wysiłkami skierować na pożar—gigantyczny strumień wody. Ale na podjęcie śluz nie stało już czasu. Zmarnowano ideę bezpieczeństwa zbiorowego, wykoszlawiono od razu wzniosłą myśl Wilsona. Ośmieszenie Genewy było jednym z większych przedwstępnych zwycięstw niemieckich.

Atakowali Niemcy i Wielką Brytanię. Spotkali się tu jednak z mocnym odporem, który zirytował ich i zadziwił. Pozornie luźny związek Imperium Brytyjskiego, zostawiający tyle swobody dominiom, okazał się krzepki w swej zwartości. Wiązania gmachu Wielko-Brytyjskiego nie zatrzeszczały i nie ugięły się. Stąd owo "Gott strafe England," stąd te afisze antyangielskie, za których zdzieranie rozstrzeliwano i wieszano w Warszawie. Nie ulega wątpliwości, że dochodzimy do decydujących momentów starcia dwóch światów i dwóch układów życia. Wybraliśmy ten obóz, który duchowo jest Polsce bliższy. I to nie tylko Polsce naszej, współczesnej, ale Polsce w jej wiekowym rozwoju.

Prędzej czy później w tym starciu będą musiały wziąć udział i Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Dziś wiedzą tam wszyscy o akcji dywersyjnej, szerzonej od lat na terenie Stanów. Widzą przykłady zachłanności germańskiej, wzmagającej się po wchłonięciu nowej ofiary. Zdają sobie sprawę, że przestwór oceanu nie jest obecnie przeszkodą nie do przezwyciężenia, w skutek czego doktryna Monroe'go, hasło: "Ameryka dla Amerykanów" zardzewiało i powinno iść do lamusa. Zresztą mogą chcieć czy nie chcieć-smok niemiecki w nazistowskiej skórze nie da im się długo zastanawiać. Już i teraz nie daruje im pomocy udzielanej przez przemysł amerykański aliantom.

Pozostaje jeszcze Japonia oraz Rosja sowiecka, dwa czynniki poważne i konieczne w obrachunku sił. Zajęta Azją, wplątana w sprawy Chin, stoi dziś Japonia od konfliktu zdala. Ma jednak swoje apetyty, i za neutralnosć jej wypadnie zapłacić. W tej chwili zabezpiecza swoje interesy na mieniu zwyciężonych. Pamiętać tylko trzeba, że zdolność chłonna najpotężniejszych imperiów ma swoje naturalne granice. Przykładem tego jest starożytny Rzym, a kto wie, czy nie będzie wkrótce faszystowska Italia. Innym przykładem stać się mogą wkrótce panoszące się Niemcy.

Zagadnienie japońskie łączy się z amerykańskim, a także z zagadnieniem sowieckim. Dotychczas najwalniejsze zwycięstwa odnosi stalinowski szakal, pełzający za hitlerowskim tygrysem. Puchnie od zdobyczy, rozpycha granice dawnej Rosji w kierunku zachodnim i wchłania . . . wchłania. Nieuchronną jest rzeczą, że będzie musiał w pewnym, może bliskim już momencie spotkać się ze szponami karmiącego go drapieżnika, który mu pozazdrości łupu. I wtedy sytuacja przybrać może obrót nieoczekiwany.

Powie nam kto, że to są przypuszczenia. Niewątpliwie. Powie nam kto inny że dla nas te przewidywania na daleką metę są bez wartości realnej. Być może. Ale widzieliśmy już własnymi oczami walkę dwóch zaborców Polski; kto ośmieli się twierdzić, że jej znów nie doczekamy? I kto powiedzieć może, iż jakakolwiek rachuba ma nie być realna, póki Polska żyje i walczy?

III

Bo Polska żyje. Żyje przede wszystkim tam, na swej ziemi, na swych odwiecznych dziedzinach. Może się skrwawić raz jeszcze, może się nawet przetworzyć. Nie mniej—pozostanie Polską. Pozostanie nią dopóty, dopóki jej rozwój będzie wytworem jej własnych sił wewnętrznych, a nie dyktandem obcych.

Jeżeli o to chodzi, powinniśmy czerpać ufność z nauki dziejów. Polskę zdobywano, deptano, okuwano w kajdany, a jednak nie wyrzekała się swej osobowości, żyła i zachowywała zdolność do samodzielnego bytu. Głęboko tkwią w narodzie ukryte moce, których nie złamie niewola; przemożna jest potęga odtwórcza, idąca z pokolenia w pokolenie. Kto by z nas zwątpił w Polskę, byłby synem wątpiącym w matkę. Ileż to razy zdawało się, że gorszych klęsk już być nie może, że kraj się po nich nie dźwignie. A jednak dźwigał się, zdrowiał, wracał do potęgi. To, co się w tej chwili dzieje, jest niewątpliwie olbrzymim przewrotem dziejowym, może jednym z największych w historii, ale tego przewrotu odegrał się dopiero pierwszy akt. Po nim nastąpią inne, i kto wie, co przyniosą. W każdym razie, przyniosą zwycięstwo tym, co przetrwali w zdolności do walki.

Pod namiotami w Szkocji może być wilgotno i ciasno, może doskwierać chwilowa bezczynność, a robak troski o kraj i najbliższych toczyć bezlitośnie. Dziś jednak z każdym momentem sytuacja się wyjaśnia. Znowu w gotowości do walki, znowu w szeregach przywołujemy żołnierski czyn. Nie minie nas. Wykażemy, że Polska nie tylko żyje, lecz i walczy. To jest nasze zadanie, nasze misja wobec narodu i wobec chwili dziejowej. Tej misji musimy być wszyscy godni.

Mimo woli porównać trzeba różnych ludzi i różny sposób reagowania na nasze obecne żołnierskie życie. Widać wówczas, że jedni hartują się na stal, inni—mniej liczni na szczęście—dają się chwilowo opanować słabości.

Gdy wszystkim zagra pobudka, i ci, słabsi, odrzucą niemęską histerię, potrafią po żołniersku powrócić do duchowego pionu i dorównać kolegom. Szkoda jednak energii na zmagania wewnętrzne, kiedy zewnętrzność stawia przed nami wielki, jasny i wyraźny cel.

Celem tym—walka o wolną Polskę. Tylko niezłomni przetrwają i odniosą zwycięstwo.

Antoni Bogusławski

"Czyny—i tylko czyny zadecydują o zwycięstwie w tej walce dwóch światów: tego, który ponad życie i mienie ceni dobra moralne, wytworzone przez tysiąclecia cywilizacji chrześcijańskiej, który wierzy w to, że każdy człowiek stanowi wyodrębniony podmiot bytu, że posiada nieśmiertelną własną duszę, a wraz z nią prawo do wolności w granicach określonych dobrem ogółu—i świata, opanowanego przez krwawych tyranów, zmierzających do zamienienia nie tylko swoich poddanych, ale i wszystkich innych narodów na trzody bezdusznych niewolników, dla których treścią życia będzie przymusowa praca, rozrywką gromadne zmysłowe użycie, a celem—zadowolenie zbiorowej ambicji poprzez sukcesy ich władców.

Nie pierwszy to raz ruszają pod takimi hasłami hordy barbarzyńców na podbój chrześcijaństwa. Ale gdy pamięć Atylli i Tamerlana przeszła do legendy, gdy przebrzmiał tętent ostatnich zagonów tatarskich, zbyt pochopnie uwierzyliśmy, że to się już powtórzyć nie może. I tak jak rozbójnik zawsze może zaskoczyć człowieka sprawiedliwego, tak i tym razem w pierwszych fazach konfliktu przewaga była po stronie napastnika tak dalece, że oto w całej Europie te Wyspy Brytyjskie jedne stanowią dzisiaj przeciwko niemu ostoję.

Przenieśliśmy na nie sztandar Rzeczypospolitej, nie tylko dlatego, by słowa sojuszniczego dotrzymać i honor Polski zachować nieskalany, nie tylko z wiarą, że z tej reduty wolności wyjdzie ostateczne zwycięstwo—ale i dlatego, że w tej walce dobra ze złem, światła z ciemnością, dla narodu, który jak nasz, po tylekroć dowiódł, że wiarę swoją i wolność ponad życie ceni, po stronie pogaństwa i tyranii—miejsca nie masz."

Z przemówienia Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza do Kraju

---

"Ważną rzeczą w wojnie nowoczesnej jest liczba żołnierza i techniczne wyposażenie armii. Ważną—ale nie jedyną. Najważniejszą jest jednak decyzja i wola walki w danym narodzie, której muszą towarzyszyć zarówno miłość Ojczyzny, jak i zdolność do ponoszenia ofiar.

Przykład naszego narodu pokazuje, że Polacy wolę walki o słuszną i świętą dla nich sprawę mieli, mają i dają rękojmię, że mieć będą.

Nie powstał nigdy w umyśle polskim projekt zaniechania walki, czy paktowania z wrogiem, by za tę cenę uchronić się przed przewrotem społecznym, przed zniszczeniem dóbr materialnych, zabytków kulturalnych czy muzealnych, za cenę korzystniejszego przetrwania najazdu. Lud polski nie o przewrocie wewnętrznym, nie o materialnym dobrobycie w chwilach najazdu wroga myślał, ale o wolności i niezależności swojego ukochanego nade wszystko kraju i był gotów dla tej sprawy wszystko oddać.

To jest nasz wielki kapitał, który wnosimy do sojuszu z naszymi partnerami, to jest nasza duma, tego nam nie wolno nie doceniać, tego nam nie wolno zatracić.

Tę wolę walki i zwycięstwa, zdolność ponoszenia ofiar i gorącą miłość Ojczyzny widzimy również u naszych potężnych sojuszników, Anglików i tych narodów, które się z nimi w wspólnych szeregach znalazły. Towarzyszy tym zaletom spokój, pewność i zaufanie do swych sił, jak i wiara w słuszność wytkniętych sobie celów: przywrócenia wolności i sprawiedliwości dla narodów i zwalczenia zła, gwałtu i nienawiści, które—wyszedłszy z brzegów państw totalnych—chcą zalać świat cały."

Z przemówienia Przewodniczącego Rady Narodowej Stanisława Mikołajczyka

Zbrodnia hitlerowska na Polsce

W powodzi zdarzeń dziejowych, jakie przelewają się nad Europą, wobec upadku i zniszczenia szeregu krajów, zaciera się w pamięci Wrzesień 1939 i rozpoczęta w tym miesiącu tragedia narodu polskiego. A jednak to, co od Września do chwili obecnej Polaków spotkało warte jest uwagi świata. W Polsce bowiem, najboleśniej, najbrutalnej, najbezwstydniej objawiła się, " nowa Europa hitlerowska." Los Polski powinien być odstraszającym przykładem dla każdego kraju decydującego się oddać w moc tego nowego barbarzyństwa, któremu na imię nazizm, i tego nowego Atylli, który nosi nazwisko Hitlera. Lepiej po stokroć zginąć z bronią w ręku, niż przeżyć to wszystko co musieli przeżyć Polacy. Wiele danych, które tu przytaczamy przytaczano w prasie, wiele doczeka się zapewne gruntownych opracowań historycznych, aby zaciążyć niezmytą plamą na narodzie niemieckim, świadcząc o jego zbydlęceniu i niewolniczym poddaniu się dyktaturze sadystów. Ale nie było dotąd podsumowania wszytkich potwornych krzywd, jakie na Polskę spadły za przyczyną tego, który sam siebie nazywa " odnowicielem Europy," a którego imię ze zgrozą, strachem i nienawiścią wymawia co dzień miliony uciśnionych.

W chwili odzyskania niepodległości, w roku 1918, Polska otrzymała ziemie nie tylko zniszczone długoletnią wojną, ogłodzone, ubogie i wyludnione, ale nadto stanowiące przez 100 lat części odrębnych organizmów gospodarczych, nieprzystosowane do wzajemnego współżycia. Trudności odrodzenia narodowego były ogromne. Brak było kapitałów, brak doświadczenia państwowego, oraz brak było ludzi o kulturze publiczno-gospodarczej. A mimo to, po 20 latach trwania niezależności kraju osiągnięto ogromme wyniki.

Trzy zabory powiązano i zespolono w państwo posiadające ujednolicone ustawodawstwo i stosunki. Stolica rozwinęła się i rozbudowała w wielkie nowoczesne miasto. Morze, do którego dostęp Polska osiągnęła, zostało objęte we władanie narodowe. Na miejscu 1000-ej wioseczki kaszubskiej, Gdyni wybudowano ogromny port, największy na Bałtyku i 100,000-e miasto o bogatym handlu i przemyśle. Drugi obok Gdyni port polski Gdańsk powiększył znacznie swoje obroty w porównaniu do obrotów z przed wojny światowej. Flota handlowa Rzeczypospolitej rosła z każdym rokiem, a w r. 1939 powiększyła się dziesięciokrotnie w stosunku do tonażu z r. 1929. Kryzys rolniczy, jaki wybuchł po okresie pomyślności 1927-29 roku, został opanowany, a produkcja stopniowo przestawiona z dawnej zbożowej, na właściwszą w nowych warunkach, hodowlaną, zapewniając stopniową poprawę dobrobytu wsi. Ziemie wschodnie Rzeczypospolitej zostały podniesione do poziomu wielokrotnie wyższego, niż w r. 1918. Kultura rolna tych ziem, a z nią cywilizacja ogólna poczyniły ogromme postępy. Wreszcie przemysł rozbudował się w sposób imponujący, zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy ukończono prace nad uruchomieniem wielkich zakładów elektrycznych na rzekach karpackich i kiedy zapoczątkowano stworzenie nowego okręgu przemysłowego, który rozwijał się w tempie przewyższającym nawet tempo budowy portu w Gdyni, podziwiane swego czasu przez cały świat. Okręg ten, utworzony w najgęściej zaludnionej i najbiedniejszej części państwa miał wchłonąć cały nadmiar zaludnienia wsi i użyć go dla zapewnienia Polsce prawdziwej niezależności gospodarczej.

W całej Polsce tętniał postęp. Prawdą jest, iż była ciągle jeszcze bieda, były błędy i braki, był niski poziom zarobkowy mas i bezrobocie. Ale zaniedbania 100 letniej niewoli zostały już odrobione i kraj znajdował się na drodze do wszechst.onnego i wspaniałego rozwoju.

Te osiągnięcia i fakt, że dalsze lata pracy były by niechybnie dały Polsce ostateczne umocnienie się i utrwalenie gospodarcze, a co zatem idzie materialną możność stworzenia niezwyciężonej obrony granic, skłoniły Niemcy do złamania paktu o nieagresji i do zaatakowania Rzeczypospolitej, bez przyczyny z jej strony. Było to ze strony Rzeszy, dążącej do panowania nad Europą środkową logiczne i zgodne z zapowiedzią Hitlera w " Mein Kampf," że nie pozwoli wyrosnąć na wschodzie żadnej sile, mogącej w przyszłości stanowić konkurencję dla Niemiec. Z powodu niezasobności materialnej Polski, które; nie stać było jeszcze na stosowne przygotowania wojenne oraz z powodu krótkowzroczności Europy zachodniej, niedostrzegającej narastania od lat potęgi Niemiec, wojna przeciw Polsce została w ciągu miesiąca uwieńczona całkowitym zwycięstwem Rzeszy i oddaniem w jej moc terytorium Rzeczypospolitej. Został zatem osiągnięty cel, do którego Rzesza dążyła-udaremnienie powstania Polski potężnej, zdolnej do konkurencji z Niemcami.

Już działania wojenne wykazały, że Rzesza nie tylko nie liczy się z ostrością zastosowanych, dla osiągnięcia zwycięstwa, środków. Metody wojny " błyskawicznej " bowiem nie usprawiedliwiają zniszczenia kraju nawet w tych jego częściach, które od razu wrogowi uległy i w których walki nie prowadzono. Nie da się nimi również wytłumaczyć i uniewinnić masowego mordowania kobiet i dzieci, które miało miejsce w Polsce zachodniej w chwili, kiedy operacje wojenne tam się już nie toczyły. Z europejskiego punktu widzenia nie da się także usprawiedliwić masowych grabieży, jakich dopuszczała się armia niemiecka we wszystkich / oprócz Warszawy/ zdobytych osiedlach. Ale wojna jest wojną. Objawia się w niej co prawda charakter ludów i etyka jej mówi więcej, niż etyka pokojowych przepisów i kodeksów. Pozostaje ona jednak zawsze wojną, największym nieszczęściem ludzkości, rozpętaniem złych mocy i uśpieniem wszystkiego, co ludzkie. To też krzywdy Polski z września 1939, choć straszne i niewybaczalne, nie są krzywdami bezprzykładnymi i wiele podobnych znajdziemy zapisanych na czarnych kartach historii.

Natomiast to, co Hitler i Niemcy uczynili na ziemiach polskich po ustaniu działań wojennych, po całkowitym opanowania kraju i skłonieniu go do uległości, urąga wszystkiemu co ludzie nazywali kiedykolwiek prawami wojny czy pokoju. Na podstawie materiałów i zeznań zebranych przez władze polskie we Francji, na podstawie własnych obserwacji podczas kilkumiesięcznego pobytu pod okupacją niemiecką w Polsce, a wreszcie na podstawie wiadomości zamieszczanych w różnym czasie i z różnych przyczyn w prasie niemieckiej, bilans tego co uczyniono w Polsce od 1 października 1939 r. wygląda następująco:

1/ Zamordowano bez przyczyny, lub skazano na śmierć wyrokami sądów doraźnych, cynicznie obcych wszelkiemu prawu i sprawiedliwości, ponad 10 tysięcy osób, w czym około 35% kobiet i dzieci. W niektórych miastach Polski jak Gdynia, Bydgoszcz i Poznań stosowano rozstrzeliwania masowe osób cywilnych, bez badania ich winy wobec władz okupacyjnych. Rozstrzeliwano wielokrotnie grupy kobiet i dzieci. W szeregu wypadków zamykano masowo Żydów w synagogach i palono wraz z budynkiem. Skazanym na śmierć zadawano cierpienia fizyczne i moralne, bito ich i torturowano. Ogromną część zamordowanych stanowiły osoby, które bądź znane były ze swego patriotyzmu, bądź zajmowały stanowiska kierownicze w społeczeństwie i cieszyły się poważaniem ludności. Specjalnie okrutnie tępiono duchowieństwo katolickie, którego bohaterska postawa podczas wojny i wobec okupanta, zyskała szacunek i podziw całego społeczeństwa.

2/ Zamknięto, na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, w więzieniach lub obozach koncentracyjnych ponad 250 tys. osób. Przez gehennę tę przeszła niemal cała inteligencja polska, ogromna część uczonych, ziemiaństwa i duchowieństwa. Wielu starych lub słabych nie wytrzymało męczarni zadawanych w obozach i zmarło przedwcześnie. Wielu popadło wskutek tortur w obłąkanie. W więzieniach i obozach nie szczędzono zamkniętym znęcania się fizycznego i poniewierania godności osobistej. Duchownym katolickim i rabinom żydowskim, starcom nad grobem, kazano wykonywać najbrudniejsze prace, bijąc ich i katując. Uczonych, urzędników i działaczy społecznych, zmuszano do wykonywania prac fizycznych w warunkach potwornych, jak na przykład w Toruniu, gdzie w listopadzie po pas w wodzie musieli wyjmować z rzeki szczątki mostu zburzonego podczas wojny. Dzieci nieletnie obojga płci zmuszano do wykonywania prac fizycznych ponad siły, rujnując ich zdrowie. Stosowano z reguły kary cielesne i karę głodu. Do obozów koncentracyjnych i na roboty przymusowe wywożono, zwłaszcza z Poznańskiego i Pomorza, nieletnich chłopców i dziewczęta. Istnieją poważne podejrzenia, iż wiele dziewcząt shańbiono i zgotowano im los niepodobny do opisania. Wielu chłopców zamęczono na robotach fizycznych i zamorzono głodem.

3/ Wysiedlono z miejsc stałego zamieszkania ponad 1½ mil. osób obojga płci. Wysiedlenie stosowano w sposób barbarzyński dając wysiedlanym minimalną ilość czasu na opuszczenie ich domostw. Z reguły pozbawiono wysiedlonych całego ich majątku. "Skonfiskowano " w ten sposób ponad 100 tys. nieruchomości wiejskich, ponad 10 tys. nieruchomości miejskich oraz ponad 12 tys warsztatów rzemieślniczych i składów. Wysiedlani musieli nadto zostawić cały swój majątek ruchomy oraz zasoby pieniężne. Wysiedlanych wywożono w okrutnych warunkach, nieopalanymi wagonami, o głodzie i wyrzucano ich na nowym miejscu pobytu bez troski o ich byt. Wiele dzieci i starców zmarzło na śmierć podczas drogi, wiele osób umarło z głodu. Rzeczy pozostawione przez wysiedlanych rabowano na użytek prywatnych funkcjonariuszy niemieckich, a resztę wraz z nieruchomościami oddano osadnikom Niemcom sprowadzonym z krajów Bałtyckich, z Wołynia i z Rzeszy. Wobec osadników tych udawano, że przydzielone im nieruchomości zostai nabyte od Polaków i pobierano od nich zapłatę za nie w walorach należnych im za sprzedany w dawnych miejscach zamieszkania dobytek. Orgie przesiedlania stosowano do całych miast i wsi. Wyludniono zupełnie takie kwitnące miasta polskie, jak Gdynia i Bydgoszcz.

4/ W zakresie rolnictwa zniszczono na długi czas kwitnącą prowincję zachodnią, bowiem nowi osadnicy niemieccy nie znali warunków miejscowych i nie umieli przystosować się do nich. Ponadto przesiedlenia przeprowadzano także i w okresie pilnych robót rolnych, na czym cierpiała ziemia i inwentarze. W szczególności zniszczono ogromną liczbę małych i średnich gospodarstw rolnych w Polsce Zachodniej, z których wysiedlono Polaków, zanim znaleziono na ich miejsce przybyszów niemieckich. Rolnictwo w środkowej Polsce zdewastowano nadzorem policyjnym i pozbawieniem robotnika wywożonego masowo do Rzeszy.

5/ W zakresie przemysłu zniszczono, zburzono lub rozebrano wszystkie fabryki z takim trudem niedawno przez Polskę wzniesione, a mające zapewnić krajowi niezależność gospodarczą. Niszczono celowo to wszytko, co nie było potrzebne dla doraźnych niemieckich celów wojny, dążąc do nadania krajowi charakteru wyłącznie rolniczego. Robotników ze zlikwidowanych fabryk pozbawiono chleba, i wywożono przymusowo do Niemiec na roboty. W razie obrony fabryk przez zrozpaczonych robotników, stosowano masowe rozstrzeliwania.

6/ Miasta w znacznej części zburzone podczas wojny odbudowywano tylko w granicach potrzeb okupanta. Celowo rozbierano i niszczono nawet te zabytki przeszłości, które dałyby się uratować, dążąc do zatarcia śladów kultury polskiej. W Warszawie, która najwięcej ucierpiała w skutek wojny, nie przedsięwzięto ani nie umożliwiono żadnych prac remontowych przed zimą, narażając milionową ludność na niewypowiedziane cierpienia wskutek mrozu w rozbitych, nieoszklonych i nieopalanych z braku węgla mieszkaniach. Z mieszkań, które ocalały, lub zostały odremontowane prywatnym staraniem właścicieli, usuwano masowo mieszkańców, zajmując je dla władz okupacyjnych.

7/ Polską własność państwową zagrabiono. Cenne przedmioty, pamiątki, zapasy nagromadzone w magazynach, tabor kolejowy, statki, wywieziono do Niemiec. Wywieziono również do Niemiec całe nowoczesne urządzenie laboratoriów naukowych i szpitali polskich. Stosując masowo terror do urzędników państwowych i samorządowych, doprowadzono do pozbawienia kraju całkowicie administracji, sądownictwa i policji.

8/ Naukę polską i polskie placówki kulturalne unicestwiono. Uniwersytety i uczelnie średnie zamknięto, skazując młodzież na bezczynność i brak nauki. Szkoły powszechne dopuszczono w ograniczonych rozmiarach, germanizując je na całym szeregu terenów. Nauczycielstwo pozbawione zajęcia, odsyłano masowo na roboty przymusowe, aby potem uzasadniać zamknięcie szkół brakiem polskich sił zawodowych. Polskich profesorów uniwersytetów, pośród nich uczonych o światowej sławie, po kilkomiesięcznej gehennie obozu koncentracyjnego, pozbawiono możności pracy naukowej. Biblioteki naukowe, pracownie naukowe, laboratoria techniczne wywieziono do Niemiec i zdewastowano. Zbiory naukowe zrabowano, wywożąc lub niszcząc specjalnie to wszystko, co świadczyło o dorobku cywilizacyjnym Polski. Biblioteki publiczne, większe księgozbiory prywatne, a nawet zapasy książek u księgarzy, niszczono, aby uniemożliwić szerzenie się kultury polskiej.

9/ Na każdym kroku, szerząc fałszywą propagandę i wyzyskując naturalne rozgoryczenie ludności wobec klęsk, jakie ją dotknęły, podrywano zaufanie mas do inteligencji, pogłębiano różnice społeczne, narodowościowe i religijne, podburzano jedną warstwę społeczeństwa przeciw drugiej pragnąc doprowadzić do rozbicia narodu. W szczególności podsycano antagonizmy narodowościowe w stosunku do Żydów i Ukraińców i na odwrót, starając się zasiać pomiędzy poszczególnymi odłamami mieszkańców trwałą nieufność. Wpływano na " sojusznika " sowieckiego w kierunku tępienia na jego terenie elementu inteligencji polskiej, jako jedynej warstwy ludności zdolnej do odbudowy Państwa.

Ujmując ogólnie, cały kraj wyjęto z pod prawa, dopuszczano się najhaniebniejszych okrucieństw i samowoli. Ludność oddano na łaskę siepaczy celowo dobieranych z pośród zwyrodnialców i sadystów. Gospodarkę planowo zniszczono, naukę i sztukę unicestwiono, a kulturę przekreślono i pohańbiono. Kradziono mienie prywatne i publiczne, bez osłonek prawnych. Wyrządzono krajowi, który z tak wielkim wysiłkiem budował swoją przyszłość i osiągnął wyniki zasługujące na szacunek świata niepowetowane krzywdy materialne i moralne- przy czym krzywdy te obmyślano na zimno, a plan przeprowadzono po zupełnej pacyfikacji, bez jakiegokolwiek wyzwania ze strony ujarzmionego społeczeństwa.

Czy krzywdy te, tak straszne dla Polski, a tak wielkie dla ludzkości zdołały dać coś realnego, coś uczynić dla Niemców? I czy przesądziły cokolwiek na zroszonych krwią i łzami ziemiach Rzeczypospolitej? Postokroć nie! Mimo kordonów dzielących nas od Polski, mimo szalejącego tam ciągle terroru i ucisku, dochodzą wieści stwierdzające, że społeczeństwa polskiego nie złamano, że wierzy ono w odrodzenie, że wiarą tą żyje. Co więcej wiarę tę podziela ogromna większość Niemców do Polski spędzonych. Mimo tryumfalnego pochodu Hitlera, mimo zwycięstw niemieckich, Niemcy w Polsce są jak na wulkanie, szykując się co dzień do ucieczki i do ratowania życia przed nieubłaganą zemstą dziejową. Wszycy oni w głębi serc wiedzą i wierzą, że łańcuch zbrodni Hitlera zamknie ich własna zagłada, kiedy krwią i mieniem będą musieli zapłacić za winy swego narodu i swego wodza.

Jerzy Pomian

* * *

Jeśli tylko Opatrzność wrócić mi zezwoli,
Żebym—wolny—mógł stąpać po ojczystej roli,
Żebym mógł was oglądać Ukochani Bliscy,
Że jesteście przy zdrowiu, że jesteście wszyscy!

Lecz jeśli Opatrzności tak się spodobało,
By za wolność kraju zgniło moje ciało,
Na jednym z tych, co będą, cmentarzach wojskowych—
Nie będzie dla mnie koniec ów zły, ni surowy!

I jeśli po mnie Bliscy w Warszawie zapłaczą,
Niech nie tylko żałoby cieniem łzy się znaczą,
Lecz również niech się we łzach poblask szczęścia gości,
Że Polska, że Ojczyzna doszła do wolności.
Uczynisz tak jak zechcesz, Boże Wielki Prawy,
Każdy los jaki ześlesz, będzie mi łaskawy,
Chociaż co dzień się modlę, choć codziennie proszę,

Uchowaj mnie na wojnie—Boże, Boże, Boże,
Daj powrócić,
Daj pracować na świetność Polski wyzwolonej,
Daj słuchać ojczystego wiatru,
Daj ponownie oglądać co dzień w Polsce zorze,
Boże!

Obóz Wojska Polskiego *Wawrzyniec Czereśniewski*

Przyczyny niemieckich powodzeń wojennych

Ogromna odpowiedzialność, jaka spoczywa na kierownikach państw i sił zbrojnych w toczącej się wojnie, czyni koniecznym poszukiwanie sposobów, mogących prowadzić do zwycięstwa oraz badanie przyczyn wszelkich, choćby nawet najmniejszych niepowodzeń.

Krytyka fachowa próbowała już ustalić główne przyczyny, dla których Polska uległa w nierównej walce z najeźdźcą. Na przyczyny te złożyły się—jak wiadomo—niemożliwe wprost do obrony z strategicznego punktu widzenia granice Polski, brak samolotów, artylerii przeciwlotniczej, tanków, broni antytankowej, brak fortyfikacyj i nie przeprowadzona na czas mobilizacja armii.

Przyszłe badania stwierdzą, jak dalece osoby odpowiedzialne za ten stan rzeczy zawiniły przez nienależyte spełnianie obowiązków, oraz jakie błędy strategiczne popełnili podczas kampanii niektórzy przywódcy, nie dorastający do nałożonych im zadań i obowiązków. Dziś jednak nikt już nie przeczy, że wszystkie te braki i błędy tym chlubniej uwypuklają męstwo armii polskiej jako całości, która w najgorszych warunkach opierała się napastnikowi niemieckiemu dłużej, niż daleko liczniejsza i bez porównania lepiej uzbrojona armia francuska. Wysuwa się przeto teraz na pierwszy plan pytanie: jakie obok przyczyn natury politycznej i moralnej były strategiczne powody tak szybkiego załamania się oporu Francji.

Krytyka fachowa-jak dotychczas-zarzuca kierownikom francuskiej siły zbrojnej, że linię Maginot'a zbudowano tylko na wschodniej granicy francusko-niemieckiej od Bazylei do Montmédy, podczas gdy od Montmédy do Dunkierki ograniczono się do zbudowania pewnych umocnień, które dopiero po rozpoczęciu wojny pośpiesznie uzupełniano. Ufano widocznie zbytnio fortyfikacjom belgijskim i sile obronnej armii belgijskiej, choć nie brakowało w tym względzie ostrzeżeń już w czasie pokojowym. Szczególnie generał Georges, członek francuskiego sztabu generalnego miał się sprzeciwiać opuszczeniu francuskiej linii obronnej na Północy celem niesienia pomocy Belgii, jeżeli Belgia naprzód nie ułoży warunków i sposobów tej pomocy ze sztabem francuskim.

Przebieg wydarzeń w północnej Francji wykazał, że obawy tych, którzy przestrzegali przed ryzykiem belgijskim, były uzasadnione. Doświadczenie okazało bowiem, że kierownictwo armii francuskiej wysyłając najlepsze swoje siły i najlepszy materiał na front belgijski, a nawet holenderski, zdezorganizowało sobie swoją własną obronę nadgraniczną między Dunkierką a Montmédy. Nadomiar siły zbrojne francusko-angielskie nie zdołały przybyć na czas, by podtrzymać opór cofającej się w nieładzie pod silnym naporem wroga armii belgijskiej, której dowództwo popełniło tak fatalne błędy, jak pozostawienie mostów na Kanale Alberta oraz przepuszczenie Niemców z niezrozumiałą łatwością przez Ardenny, uchodzące przecież za teren niezbyt trudny do obrony.

Korespondenci neutralni, których dowództwo niemieckie zaprosiło na oglądanie pola bitwy, stwierdzają zniszczenia i poważne ślady walk w północnej Francji, natomiast nie widzieli ani w przybliżeniu śladów podobnych walk w Belgii poza Namur i kilku innymi miejscowościami. Stwierdzają n.p., że forty pod Liège i Namur wyglądają z daleka tak nietknięte, że wierzyć się nie chce, iż zostały zdobyte.

Wojska niemieckie z przyczyn przytoczonych stanęły w Belgii nad Mozą, zanim wojska angielskie i francuskie zdołały tam zorganizować należytą obronę. Niemcy mieli wskutek tego od razu przewagę dobrze przygotowanego ataku, któremu Sprzymierzeni zdołali przeciwstawić tylko obronę zaimprowizowaną po opuszczeniu fortyfikacyj nad granicą francuską. Belgia, która miała być przedpolem obrony francuskiej z trzema liniami obronnymi: nad Kanałem Alberta i w Ardenach, nad Mozą oraz nad Skaldą stała się wskutek takich okoliczności raczej pułapką dla armii Sprzymierzonych.

Nie kto inny jak premier francuski Reynaud wskazał już wówczas na dezorganizację armii, która na francuskim odcinku Mozy bronić miała dostępu do Francji. Podobno połowa sił była urlopowana w chwili, gdy nastąpił pod Sedanem atak armii niemieckiej, która niespodziewanie szybko przedarła się przez Ardeny i zrobiwszy wyrwę w fortyfikacjach francuskich, dotarta aż do Rethel (mniej więcej pół drogi między Sedanem a Reims).

Niemcy, którzy z największą drobiazgowością wystudiowali wszystkie błędy, jakie popełnili podczas ataku na Francję w roku 1914, przedarłszy się pod Sedanem, zwrócili się od razu na północny zachód, by dotrzeć przez Abbeville do morza i odciąć siły francuskie i angielskie, walczące w Belgii, co im się też nadspodziewanie szybko udało.

Jeżeli nieprzewidujący sposób, w jaki dowództwo armii francuskiej pośpieszyło na pomoc Belgii uchodzi za najważniejszy z błędów strategicznych, a słaby na wielu odcinkach opór armii belgijskiej za więcej niż błąd, to fakt, iż dowództwo armii francuskiej nie mogło pchnąć dostatecznych sił, aby nawiązać na czas łączność z odciętymi siłami francusko-angielskimi w Belgii, uchodzić musi za dowód wielkiej już wówczas słabości, który nasuwał obawy o dalsze losy wojny we Francji. Gdy bowiem Niemcy uderzyli z pod Rethel na Saint Quentin, Cambrai, Arras, Amiens i Abbeville, armie francusko-angielskie w Belgii stały jeszcze w Lille i Valenciennes, a w pewnej chwili odbiły nawet Arras; przestrzeń dzieląca je od głównych sił francuskich wynosiła zaledwie 50 klm. Anglicy wyciągnęli w tej sytuacji jedyny wniosek, ratując swoją armię przez Dunkierkę do Anglii, co im się nadludzkim wprost wysiłkiem udało. Utracono tylko pierwszorzędny materiał. Poważna liczba sił francuskich, wyposażona również w pierwszorzędny materiał, dostała się do niewoli niemieckiej. Odpowiedzialność za taki obrót rzeczy spada na główne dowództwo, które jak wiadomo, było w rękach francuskich. To też było powodem usunięcia gen. Gamelin.

Angielska krytyka fachowa stwierdza, że francuski sztab generalny, złożony z generałów starej szkoły, wyobrażał sobie prowadzenie obecnej wojny wedle doświadczeń z poprzedniej wojny światowej, to znaczy: przygotowanie ataku przy pomocy huraganowego ognia artylerii, a następnie atak piechoty, wspierany przez czołgi. Jeden tylko wojskowy francuski przewidział trafnie rozwój sztuki wojennej, a mianowicie gen. de Gaulle, dzisiejszy dowódca tych sił francuskich, które postanowiły walczyć dalej z Niemcami po stronie Wielkiej Brytanii. Ogłosił on kilka lat przed wojną broszurę, w której udowadniał potrzebę stworzenia 10 samodzielnych dywizyj pancernych. Podjął tę myśl późniejszy premier francuski Paul Reynaud, stawiając odpowiednie wnioski w parlamencie francuskim i ogłaszając ze swej strony w roku 1937 broszurę, popierającą wnioski gen. de Gaulle. Żądania p. Reynaud, jak wiele innych trafnych jego przewidywań, spotkały się z oporem sztabu i rządu.

Niemcy tymczasem wprowadzili dwie radykalne zmiany do systemu atakowania. Pierwsza polegała na spuszczaniu silnych odziałów spadochroniarzy za linią frontową przeciwnika, co dało im liczne korzyści zarówno w Norwegii jak i w Holandii, w Belgii i w północnej Francji. Naoczni świadkowie opowiadali, że Niemcy, przeprowadziwszy gwałtowny nalot na Abbeville, oszczędzili katedrę i jej najbliższą okolicę; tam zgromadzili się ich spadochroniarze w chwili, w której ludność chroniła się przed bombami samolotów. W pewnym momencie spadochroniarze z karabinami maszynowymi obsadzili w mgnieniu oka główne wyloty ulic i opanowali miasto. Być może, że takiej okoliczności zawdzięcza również katedra w Amiens, iż ostała się, choć miasto leży w gruzach. Niewątpliwie katedra jako punkt zborny wykluczała możliwe omyłki, gdyż katedry górujące nad miastem nietrudno jest rozpoznać. Druga zmiana wprowadzona do niemieckiej taktyki wojennej polegała na masowym użyciu czołgów do ataków bez przygotowania artylerii i bez pomocy piechoty, z udziałem jedynie wielkiej ilości nisko lecących samolotów, usiłujących szerzyć popłoch.

Do tych nowych metod walki francuskie główne dowództwo nie było niestety przygotowane, mimo doświadczeń, jakie w tym względzie dała kampania w Polsce. Fakt, że z doświadczeń polskich nie wysnuto wniosków należytych, odpowiedzialne czynniki tłomaczą rzekomym brakiem odpowiednich materiałów, które miały nie dotrzeć z Polski do Francji. Stwierdzić jednak trzeba, że wojskowi krytycy francuscy po kampanii w Polsce w pracach ogłoszonych w czasopismach francuskich zdawali sobie doskonale sprawę z nowej taktyki zastosowanej przez armię niemiecką, ale dodawali zwykle, że Francja jest zupełnie inaczej przygotowana, niż Polska, i że atak podobnymi środkami na Francję nie odniósłby takich skutków, jak w Polsce. Po za tym dodać należy, że do Francji przybyła przecież pewna liczba generałów polskich, którzy z pewnością podzielili się z francuskim sztabem swoimi doświadczeniami. Być może, że sztab francuski trwał przy zdaniu, na mocy którego odrzucił dawniej propozycje generała de Gaulle. Może wydawało mu się, że podczas wojny jest już za późno na zmianę taktyki, a w ogóle zbytnio ufano w wytrzymałość linii obronnych w Belgii oraz linii Maginot'a.

W każdym razie nowy system ataku niemieckiego zaskoczył armię francuską nieomal tak samo, jak armię polską. Atoli armia polska walczyła do ostateczności i Warszawa, bliżej granicy położona niż Paryż, poddała się dopiero po czterech tygodniach wojny; atak zaś główny na Francję rozpoczął się 5. czerwca, a już 14. Niemcy bez walki wkraczali do Paryża.

Główną odpowiedzialność za ten tragiczny obrót rzeczy składa się we Francji na gen. Gamelin'a i na wieloletniego ministra wojny Daladier'a, którym mają być wytoczone procesy. Jak wiadomo, gen. Gamelin został w roku 1934 zastępcą gen. Weygand'a, który wówczas z wielkim żalem opuszczał swoje stanowisko. Sprawiedliwość każe przyznać, że kiedy po katastrofie w Belgii objął znów dowództwo naczelne, możliwość obrony Francji stała już pod znakiem zapytania, gdyż braków kilkuletnich i błędów popełnionych nie można było odrobić w kilku dniach.

Porusza się również niesłychanie ważne dla nas Polaków zagadnienie, a mianowicie, jak dalece w katastrofie Francji zawinił fakt, że armia francuska nie zaatakowała całą siłą Niemiec w chwili, gdy armie niemieckie napadły na Polskę. Wojnę wygrywa się przecież przede wszystkim atakiem, a nie samą obroną. Francja zaś miała najkorzystniejszą chwilę do ataku właśnie na początku września roku 1939, gdy główne siły niemieckie były zaangażowane w Polsce, a fortyfikacje niemieckie nad granicą francuską nie były jeszcze wykończone. Krytyka fachowa stwierdza jednak, że duch defensywny przeważał w dowództwie armii francuskiej, i że z tej przyczyny zaniechano nie tylko ataków we wrześniu roku 1939, ale nie wprowadzono także nowych sposobów walki do armii francuskiej. Sposoby te są bowiem raczej ofensywne, zaś defensywne poglądy głównych dowódców utwierdzały jeszcze zaufanie do linii Maginot'a, która w ten sposób stała się niestety, wbrew woli jej twórcy, do pewnego stopnia pośrednią przyczyną klęski francuskiej.

Michał Kwiatkowski

Czy to demokracja była winna ?

Tragiczny i niespodziany upadek Francji stawia przed nami pytania kardynalnej wagi, na które musi się odpowiedzieć. Czy upadek Francji związany był z formą jej rządów? Czy w walce z dyktaturami i totalizmami demokracja skazana jest na zagładę? Czy do tego, by złamać w wojnie przewagę niemiecką a później w czasie pokoju zabezpieczyć się przed powtórzeniem tragedii 1939 i 1940 roku nie jest konieczne przyjęcie od naszych wrogów form rządzenia, nie jest konieczne wyrzeczenie się tych ideałów wolności i godności ludzkiej, o które walczymy.

Francuska demokracja nie jest bez winy. Ale winą jej główną jest to, że nie potrafiła obronić siebie i swych praw. Winą jej jest to właśnie, że i przed wojną a bardziej jeszcze w trakcie wojny dobrowolnie zrzekła się kontroli rządu, dobrowolnie oddała w ręce ministrów całkowitą władzę, że pozwoliła na skrępowanie prasy i opinii publicznej, że dopuściła do tego, by u steru pozostali ludzie, których sympatie dla hitleryzmu i mussolinizmu były jawne i znane. Do ostatniego prawie momentu rządzili we Francji ludzie Monachium: Daladier, Bonnet i de Monzie. A kiedy-za późno-do steru doszedł Reynaud i Mandel, to i oni popełnili ten kapitalny błąd, że zamiast oddać pod sąd defetystów powołali ich do współrządzenia, a nawet oddali im w ręce armię.

By sprawiedliwie osądzić to, co się stało we Francji o jednym trzeba pamiętać. Zdradę francuską, zwrócenie się o pokój poprzedził faszystowski zamach stanu. To na tajnym posiedzeniu rady ministrów postanowiono usunąć Reynaud i oddać władzę figurantowi Pétainowi, za którym ukrywali się faszyści Weygand, Laval i Marquet. Parlamentu nie zwołano, prasę trzymano w ryzach. Wystarczyło w tych tragicznych dniach czytać największy organ demokracji francuskiej, "Dépêche de Toulouse," aby widzieć, jak z każdego artykułu pozostawały jedynie poszczególne zdania, by nie mieć wątpliwości, że demokracja francuska pragnęła walkę prowadzić dalej. Wystarczy obserwować pośpiech, z jakim dzisiejszy rząd Francji likwiduje parlament i wprowadza system faszystowski, by zrozumieć, że poddanie się Francji miało na celu właśnie zlikwidowanie d e m o k r a c j i. Francja zginęła przez zdradę.

Ostatnim ogniwem tej zdrady było zwrócenie się o pokój. Ale zdrada ta była i działała już dawniej w biurach ministerialnych i w sztabach, w redakcjach wielkich gazet i u steru wielkich przedsiębiorstw. Wszędzie działali ludzie, którzy zdawali sobie sprawę, że zwycięstwo demokracji w wojnie odbije się na ich przywilejach i którzy świadomie postawili swoje interesy ponad obronę ojczyzny.

Zawiniła demokracja francuska. Ale zawiniła lekkomyślnością, zawiniła brakiem ducha jakobińskiego, brakiem bezwzględności.

Dzisiaj po upadku Francji fronty są jeszcze wyraźniejsze, niż były na początku wojny. Jednym frontem jest faszyzm międzynarodowy. Świadczy o tym nie tylko przymierze Hitlera i Mussoliniego, to przymierze, w które do ostatniej chwili wielu wierzyć nie chciało, nie tylko fakt, że we Francji faszystowski zamach stanu poprzedzić musiał poddanie się. Świadczy o tym jaskrawiej jeszcze rola "piątych kolumn" w Norwegii, Holandii i innych krajach, świadczy fakt, że w Rumunii poddanie się Niemcom automatycznie połączone było z przejściem na system faszystowski.

Drugim obozem, obozem, w którym siłą prowadzącą jest Wielka Brytania, do którego i my należymy jest właśnie obóz demokracji. Nie utożsamiajmy demokracji z tym, co widzieliśmy we Francji, a co było jej karykaturą. Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków z tego, że przecież i Daladier i Bonnet i Chautemps byli członkami partii radykalno - socjalistycznej, że grupa Paul Faure'a, która należała do partii socjalistycznej popiera rząd Pétaina i bierze w nim udział.

Podział: faszyzm-demokracja nie pokrywa się bowiem z dawnym tradycyjnym podziałem na lewicę i prawicę. Wszak Winston Churchill na przykład jest niewątpliwie człowiekiem prawicy, co nie przeszkadza mu być dzisiaj symbolem walczącej demokracji i najściślej współpracować z socjalistami. A i we Francji leaderem prawicy był stary Louis Marin, zresztą prezes grupy parlamentarnej polsko-francuskiej, który pragnął walczyć do końca i prawicowcami są dziennikarze Pertinax i de Kerillis, którzy dalej prowadzą walkę. Zginął też bez śladu dawny podział na "narodowców" i lewicę. Bo to właśnie "narodowcy" belgijscy jak Degrelle, holenderscy, jak Rost van Tonningen, albo francuscy, jak Chiappe okazali się członkami międzynarodówki faszystowskiej, a "międzynarodowi" socjaliści, jak Herbert Morrisson zwolennikami obrony ojczyzny do ostatka.

Demokracja to po prostu zachowanie tych zdobyczy, które dała Wielka Rewolucja Francuska, które bez rewolucji wytworzył wielki naród angielski: *wolności słowa, myśli i sumienia, poszanowania godności ludzkiej. A po wojnie trzeba będzie jeszcze dodać sprawiedliwość społeczną,* skasowanie tego wszystkiego, co Hitler i Mussolini demagogicznie i perfidnie nazywają "demo-plutokracją."

Demokracja wreszcie znaczy i jeszcze coś innego, coś, co dla nas Polaków przede wszystkim ma znaczenie. Oznacza ona *nie tylko równość jednostek, ale także równość i wolność narodów.* Faszyzmy uznają wyższości ras i prawa do "obszarów życiowych." Demokracja uznaje prawo każdego narodu do niepodległego bytu.

Prowadząc naszą walkę o Polskę, tę walkę, której bohaterstwo dziś lepiej jest jeszcze widoczne, niż miesiąc temu-walczymy jednocześnie o zwycięstwo demokracji.

Czesław Poznański

Redakcja "Polski Walczącej" prosi o nadsyłanie materiałów literackich, rysunkowych i fotograficznych.

To nasze żołnierskie pismo musi powstawać naszym wspólnym, żołnierskim wysiłkiem, winno jak najpełniej odzwierciedlać nasze życie.

W NARWIKU



Port w Narwiku, skąd najbogatsza na świecie ruda żelazna ze szwedzkiej Kiruny płynęła wzdłuż szczerbatych w dzikie wyręby skalne brzegów norweskich aż do niemieckich odlewni—jest od końca kwietnia jednym wielkim cmentarzyskiem. Zwłaszcza podczas odpływu, zatoka jest wprost najeżona masztami zatopionych okrętów, po których zwisają liny wędrujące z wiatrem, tu i ówdzie postrzępione pociskami kominy wyzierają z wody, poskręcane w jakichś cyklopowych konwulsjach kadłuby norweskich, niemieckich i angielskich okrętów wojennych wyciągają ku blademu północnemu niebu poczerniałe kikuty dział, wieżyczek, blokhauzów i anten.

Sam Narwik, pomimo kilkunastu pogorzeli i rozprutych bombami, jak tekturowe dekoracje poniektórych domostw jest schludnym i zasobnym miastem, migocącym z głębi fiordu domkami jasnymi, malowanymi norweską modą, jak wielkanocne pisanki. Nielada tu były obroty i złote interesy, zwłaszcza od chwili szału zbrojeń i wojny. Kolej w skałach kosztownymi tunelami wykuta dowoziła aż do samego narwickiego fiordu tę bezcenną rudę z Kiruny, z której Niemcy ukuli swoje pancerne dywizje. Stąd pomimo angielskiej czujności i całej sfory kontrtorpedowców łatwo było każdej banderze przemknąć się, aż do niemieckiego Bałtyku.

To też na samym początku najazdu Niemcy rzucili tu wyborowe bataliony strzelców tyrolskich i wspaniale wyekwipowane oddziały desantowe, które dzięki zdradzie norweskiego dowódcy z łatwością opanowały miasto, obsadziły kolej i wszystkie tunele, aż po granicę szwedzką i zapadli w górach port otaczających, trzymając pod swym ogniem całą lądową drogę żelaza z Kiruny. Port narwicki stał się wprawdzie grobem dla siedmiu nowiutkich kontrtorpedowców niemieckich, które angielski pancernik "WARSPITE" wygniótł doszczętnie, ale część ocalałych załóg dołączyła na lądzie do znakomicie okopanych i umocnionych stanowisk i aczkolwiek Anglicy trzymają fiord, Niemcy trzymają miasto, kolej i góry. Władają ponadto powietrzem, bo "Junkersy" i "Heinkle" z niedalekich baz, odebranych Norwegom przelatują swobodnie zrzucać załodze Narwiku pocztę i co drobniejszy sprzęt wojenny, a kiedy aliancki korpus ekspedycyjny, w którego skład wchodziła Brygada Strzelców Podhalańskich, otoczył Narwik i pętlę stalową ogni dokoła miasta zacisnął, przypierając niemieckie placówki do pustynnego, zupełnie górskiego zaplecza, lotnicy niemieccy pragnąc podnieść ducha u oblężonych towarzyszy broni narysowali na niebie dymnym ściegiem gigantyczną swastykę.

Morze—ta właściwa ojczyzna Norwegów—było i dla nas jedyną prawie drogą komunikacji. Małe, pękate, solidnie budowane do dalekich połowów i kabotażu kutry, pykające diesselowskimi motorami, oddawały Brygadzie bezcenne usługi. Na nich to odbywaliśmy liczne patrole rozpoznawcze, wypatrywaliśmy i tropiliśmy niemieckich spadochroniarzy, których jeszcze w przeddzień zdobycia Narwiku zrzucono pośpiesznie dla wzmocnienia obrony miasta. Na nich poszczególne kompanie przegrupowywały się dokoła labiryntu wysp i niezliczonych, cudownych w swej dzikości, zakamarków fiordu.

Niemieccy lotnicy bombardowali codziennie, sumiennie i pracowicie. Specjalnie ulubionym i poszukiwanym celem byli nasi najwierniejsi współpracownicy, okręty wojenne Jego Brytyjskiej Mości. Wspaniałymi, 30-krotnie powiększającymi telemetrami wypatrywały one z fiordu niemieckie stanowiska artylerii i broni maszynowej. I jak ogrodnik zręcznie, chwast wśród zagonu dostrzegłszy jednym chwytem go wyrwie i zniszczy, tak i działa kontrtorpedowców jedną salwą potrafiły zamienić w obłok kurzu i garstkę gruzów wykrytą pomimo chytrych maskowań lufę niemiecką.

Niech tylko na jednostajnie biało czarnym—bo karłowate brzozy nie zazieleniły się jeszcze—kłębowisku zboczy, skał, grani, dolinek, i tysiącznych stromych nierówności zdradzi się ruch zielonkawych "khaki" plamek, blask broni lub inny szczegół żołnierskiej roboty, zaraz brzęczące w dzień i w bezgwiezdną, lecz gorejącą światłem noc podbiegunową, drapieżne jednopłaty metodycznie i precyzyjnie wyrzucają swój złowrogi ładunek. Widać wyraźnie, jak z pod skrzydeł odrywają się mikroskopijne zrazu punkciki, rodzi się w niebie poszum ledwie uchem uchwytny, potem piorunem przechodzi w świst, jakieś piekielne chichotanie, ryk, jakby pary z rozdartego kotła i wreszcie matowy grzmot ekrazytu. Piechur głowę wtula w ramiona, przyciskając się do skały lub do skrawka ziemi, aż w piersiach oddech zapiera. Rymnęły odłamki, dziobate, postrzępione, jak strzyżony papier, drące ciało zjadliwie, bezlitośnie. Czy tylko one? Niemieccy fachowcy nie robią niczego połowicznie i ledwie wzrok pogonił za żelaznym krzyżem znaczonymi skrzydłami, już zawraca lotnik, ześlizgując się w efektownym wirażu i pluje rzęsiście z karabinów maszynowych. Widać nieraz, jak w skórę okryty strzelec kręci nerwowo lufą i tu wiązkę—tam wiązkę umieści.

Kule rekoszytują po skale, jak kamienie żabką puszczane po stawie. Czy to koniec na dzisiaj? Ta sama myśl przebiega pod hełmami strzelców Podhalańskiej Brygady, którzy w mig dostosowali się do walki samolotu z piechotą i kryją się, płaszczą dokoła swych c.k.m. - ów, upodabniają się jak mogą do tej ziemi norweskiej, która dla jednych stała się grobem, a dla drugich najlepszą osłoną przed pociskiem. Obserwacja niemiecka jest tak wnikliwa, że nawet na kolor ochronny malowane hełmy lśnią w słońcu i przyciągają wzrok, a za nim—śmierć. To też hełmy poprzykrywali żołnierze czym się dało, jeden szalikiem khaki co gardło miał chronić, inny kawałkiem płachty suto błotem umazanej, a poniektóry gałązek i trawy ponatykał na głowę, że wygląda jak indyjski wojownik w pióra strojny.

Łańcuch naszych placówek o 200 m. nieraz zaledwie odległy od niemieckich zapadł się w szczeliny górskie, każdy rąbek mizernej, anemicznie zielonej trawy, każdą fałdkę terenu wykorzystując, byle tylko widzieć i nie być widzianym i przed muszką nieprzyjacielską się ustrzec. Ciężkie i ręczne karabiny maszynowe splotły się przemyślną robotą obsług z krzakami, porosły mchem i listowiem, skuliły się wraz ze skrzynkami z amunicją w każdy występ skalny. Nieprzytulna jest jednak ta norweska ziemia, niepachnąca życiodajną próchnicą, jak nasza z Kujaw, Wołynia, Mazowsza. Kostnieją ciała żołnierskie leżące długimi godzinami na śniegu, który ociąga się z topnieniem, pomimo, że maj już za pasem.

A tam w dole na wodach fiordu rwą się spłoszone hukiem wystrzałów i rzężeniem motorów kaczki-edredony. Jak poleskie cyranki śmigają nad tonią niskim, chybotliwym lotem. Lecz inne cele mają nasze karabiny, codzienna wymiana kul od nas lub od nich z przeciwka, gdy ktoś nieostrożnie głowę wysunie, stały ruch patroli i czujek i tych, którzy w okropnym trudzie windują z dołu niezawsze ciepłą strawę, zaopatrzenie i amunicję. Niegolone i niemyte od dawna już twarze ociera wyświechtany czołganiem się i leżeniem przy broni rękaw żołnierski, kiedy przez długie nieraz godziny, windować wypadnie na górę kawę dla plutonu lub skrzynkę z taśmami do maszynek. Pomiędzy skałami chytrze zainstalowana linka kalecząca dłonie nie zawsze spełnić może swoje zadanie, ileż razy trzeba po prostu na plecy załadować i taszczyć bez końca, podnosząc co raz częściej umęczony wzrok ku górze, gdzie czekają koledzy.

W nocy zimno kąsa i pled się od oddechu szronem jakby puchem białym okrywa. Śnieg jest jednak gościnniejszy od kamieni i mniej boki uwiera, ale jasnym tłem zdradza przed obserwacją i nieszczęście gotów sprowadzić. Z tamtej strony doskonałe zeissowskie lornetki nie próżnują. Płachtą namiotową spróbujemy się przykryć, ona jasną plamą z tłem się zleje i żołnierski sen ubezpieczy.

Tak to wyglądała codzienna rzeczywistość Podhalańskiej Brygady, kiedy dowództwo zdecydowało natarcie na Narwik i zdobycie miasta. Plan operacyjny przewidział akcję z południowej i północnej strony, Narwik bowiem leży na półwyspie.

Punktualnie o północy z 27 na 28 maja komenda "naprzód" padła z ust dowódców batalionów i kompanji, z brytyjskich okrętów ustawionych półkolem we fiordzie runęły salwy. Zawtórowała im nasza artyleria, wymacująca starannie granatami gniazda niemieckiego oporu u wylotów tuneli i na skarpach górskich dokoła portu. Po 10 minutach cały fiord i miasto pokryły się gryzącą chmurą prochową.

Ankenes, przedmiot polskiego natarcia, stanowiące właściwie przedmieście Narwiku zaróżowiło się łuną pożarów. Strzelcy skokami walą w dół, kicając rześko od krzaka do krzaka. Odezwały się zaraz ich karabiny i broń maszynowa wspierająca natarcie. Niemcy też nie pozostali dłużni, pociski ich moździerzy już lecą hucząc, kończą swój stylowy, pełną parabolą zarysowany lot bryzgiem zjadliwych odłamków. Zagadały z Ankenesu karabiny maszynowe i r.k.m.'y, kosząc wiązkami kul po zboczach gór, z których suną dalej strzelcy podhalańscy. Nie widać jeszcze pierwszej krwi, teren jest tak pokryty i urwisty, że nawet sąsiedzi z jednej drużyny nie widzą dobrze, co się dzieje obok, kto upadł na dobre, a kto ruszy dalej za chwilę—byle dalej, byle prędzej, tam na dół, na nich, do brzegu fiordu. Dotarcie do niego oznacza zdobycie Ankenesu. Jak daleko jeszcze do linii, z której Niemcy strzelają co tchu, a jak ciasno już w tych krzakach, gdzie kule hulają, rażą same i odpryskami kamieni. Podhalanie walą w dół, ciesząc się spustoszeniem, jakie tam u Niemców musi szerzyć przeraźliwy łoskot alianckich dział.

Już domki Ankenesu widać co raz bliżej. Wiatr przynosi gorąc płomieni, ale ogień niemiecki się wzmaga, piekli i boli, bo z posród strzelców nie podnoszą się już niektórzy. Fiord dokoła górami otoczony jest skrzynią rezonansową i każdy wystrzał, przewala się echem złowieszczym. Dawno już nie słychać komend. Śmierć robi swoje, lecz nie wiesz, kto dopadnie na dół, z tych twoich, z tych najbliższych, z drużyny, z plutonu, z kompanii. Bitewna wrzawa pokryła wszystko.

Wśród żołnierzy 3 kompanii, szczupła sylwetka starszego strzelca, Jana Szeliskiego, do września ubiegłego roku sekretarza Ambasady Rzplitej przy Kwirynale. Nie przywykły jego dłonie dyplomaty, jednego z tych, dla których służba nie była posadą, lecz umiłowanym powołaniem, jednego z najbardziej cenionych z młodego pokolenia Brülowskiego Pałacu—do karabinu i granatu ręcznego, nie przywykły jego jasno-niebieskie oczy krótkowidza w rogowych okularach do wypatrywania feldgrau munduru lub baniastego hełmu Reichswehry na linii celownika. Wiedział on jednak, że Rzplita, której od najwcześniejszej młodości służył nie dyplomatów już potrzebuje, lecz żołnierzy, i całym wysiłkiem woli i nerwów, swych wątłych muskułów intelektualisty spełniał obowiązek ochotnika. Jako starszy strzelec, znikomy w hierarchii wojskowej, w zgrzebnej bluzie ziemisto-zielonej brał ze swą kompanią Narwik z bagnetem w ręku.

I tam w narwickim fiordzie poległ starszy strzelec Jan Szeliski. Młoda dyplomacja polska potrafi w potrzebie negocjować także swą własną żołnierską krwią.

Brygada Strzelców Podhalańskich zdobyła Ankenes.

T. Mey

Rysunek Józefa Natansona

O kilku odznaczonych

Po pierwszej defiladzie wojska polskiego w Szkocji w czwartym obozie, po uroczystym odznaczeniu krzyżami kilkudziesięciu Podhalan cały obóz patrzał z uznaniem na żołnierzy w beretach z majtającymi się świeżutkimi orderami na piersiach.

Tylko Podhalanie, siedząc w swych namiotach na plikach kocy, z menażkami na kolanach, mruczeli i psioczyli:

—Zaco ten Kajtek dostał krzyż?

—Za to, że leżał całe trzy tygodnie w stodole.

—Bo to, że brał udział w natarciu na Ankenes to żadne bohaterstwo; cały batalion lazł w ogień—to lazł i on.

—A za co dostał ten Kleofas?

—Za to, że dziwki macał w Borkenes.

—Podobno potem telefon i l ogniem niemieckim rozwieszał.

—Jak był w łączności, jak mu kazali—to trudno, żeby nie rozwieszał. Ale i wtedy na pewno o dziwkach myślał, bo jemu tylko to w głowie.

—Nie ma sprawiedliwości u nas.

—Oj nie, nie!

Tak, jak Europy nie można podzielić, żeby wszyscy byli zadowoleni, tak i na 500 ludzi nie sposób rozdać 40 krzyży, by nie było narzekań. Ludzie postronni uważają, że każdemu co był w Norwegii, co spełniał nienagannie co doń należało można już dać odznaczenie; sami Podhalanie żądają od swych wybrańców czynów niezwykłych, ponadobowiązkowych—i stąd jadowita krytyka.

Wszyscy się cieszą z udekorowania księdza K. . . Linia—nie linia, pod ogniem CKM-ów czy w śniegu po pas, wszędzie był pucołowaty kapelan, wszędzie sączył słowa otuchy, zawsze był gotów wyspowiadać, nieść pomoc; cała brygada znała jego piskliwy głos i serdeczne spojrzenie.

—Do piekła za księdzem bym poszedł! rzekł mu pod skałą na linii strzelec z wylaniem.

—A niech cię diabli wezmą kochany, za takie projekty,—oburzył się kapelan,—poco mi tam? ja chcę do Narwiku, potem do Polski, a jeszcze potem do nieba.

Nikt też nie przeczy, że strzelcowi M. . . krzyż się święcie należał. Ten wątły, szczupły blondyn—student z Krakowa podczas 30-kilometrowych marszów dźwigał na plecach oprócz własnego 25-kilowego pakunku jeszcze furę amunicji do RKM-u. Koń objuczony, jak on rozkraczyłby się i zaprotestował; M. . . brnął przez śnieg, błoto, po lodzie, nie prosił nikogo o pomoc i jeszcze żartami podtrzymywał całą drużynę na duchu.

A potem, ranny czterokrotnie, nie ustawał w obsługiwaniu RKM-u, zaklinał, by się nim nie zajmowano, aby pluton się wycofywał, by go zostawiono.

—Będziecie mieli dość trudności beze mnie, mówił do kolegów.

Ksawery P. . . był pierwszym Podhalaninem, który otrzymał krzyż w Norwegii. Jak to czasem udaje się osiągnąć to, czego sią gorąco pragnie! W drodze do Norwegii rozmawialiśmy na statku:

—Chciałbym dziś wygrać robra ze stu!—mówił podch. N. . . .

—Chciałbym jutro pograć w tenisa w parku Skaryszewskim!—westchnąłem.

—Chciałbym dostać Krzyż Walecznych zaraz po wylądowaniu!—marzył P. . .

No i tylko jego życzenie się spełniło. Przydzielony zrazu do sztabu, póty molestował dowództwo aż płk. Chłusewicz, który każdemu stara się dogodzić, przeniósł go do kompanii. O żonę nigdy tak nie dbał P. . ., jak o tych 11 byków swej drużyny. Kradł dla nich nawet kompoty przeznaczone dla oficerów!

Z wioski Hyökvig udał się wraz z plutonem por. Szaszkiewicza na zbadanie dużego wzgórza. Pluton poszedł za daleko, Niemcy ukryci po bokach, przepuścili go, a potem otworzywszy silny ogień zaporowy, uniemożliwili powrót. Przez 36 godzin żołnierze leżeli rozpłaszczeni za głazami, odcięci. Tam padł pierwszy z Podhalan—20-letni podch. Kowalski.

P. . . kicając od krzaka do krzaka, od wyrwy do skały, przedzierał się parokrotnie do batalionu, wracał do swoich, był jedynym łącznikiem. Znudzeni niewidzeniem nikogo innego Niemcy prażyli do niego, jak do wiewiórki. Trzeba było mieć IKaC-owe szczęście, by nie dostać kuli. Zagrały wreszcie francuskie moździerze, Niemcy musieli przymilknąć, przetrzebiony pluton się wycofał. P. . . taskał rannych, wracał mimo ognia po następnych.

—To nasz bohater z góry plecakowej,—mówili potem o P. . . żołnierze, którzy na pamiątkę tego, że kazano im iść na to rozpoznanie z plecakami tak ochrzcili pamiętną górę.

Karol Zbyszewski

HOŁD ŻOŁNIERSKIEJ ZASŁUDZE



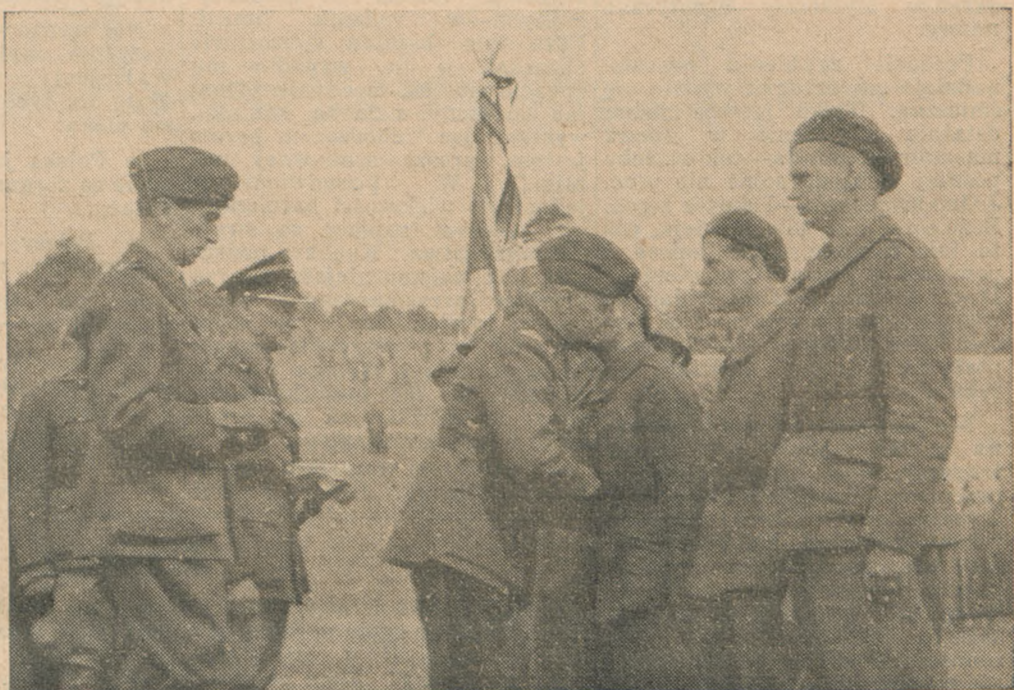
Dekoracja sztandaru Brygady Podhalańskiej



Naczelny Wódz i chorąży Brygady



Dekorowanie oficerów i żołnierzy



Wódz całuje jednego z odznaczonych



Naczelny Wódz przemawia



Z dobrze zasłużonymi krzyżami



Naczelny Wódz przyjmuje defiladę w otoczeniu oficerów polskich i angielskich



Krokiem paradowym

Zamiast artykułu

Około 20-go czerwca w Bordeaux bardzo było niegościnnie i bezpańsko. Przez dziewięć miesięcy przywykliśmy Francję uważać za pomost ku Polsce, i ten pomost nagle usunął się z pod nóg. Od chwili opuszczenia Paryża—poprzez wszystkie błyskawiczne etapy francuskiej rezygnacji — to właśnie było najstraszniejsze: co raz głębiej zapadaliśmy w próżnię, Polska traciła uchwytny kształt, stawała się już tylko bólem i niewyraźnym majakiem przyszłości. Nie wiadomo było, w którą stronę się udawać, jakiego losu teraz pragnąć.

Któregoś ranka, kiedyśmy bezradni stali w ponurej uliczce bordoskiej, ktoś bąknął, że na redzie podobno jeszcze jest jakaś polska węglarka i ma płynąć do Anglii. W pół godziny później wjeżdżaliśmy taksówką do portu. W olbrzymich basenach stały nieprzeliczone statki handlowe otoczone zgrzytem żórawi i pyłem towarów. Najrozmaitsze mowy było słychać, kładki uginały się pod ciężarami, na flankach okrętów błyszczały egzotyczne nazwy.

Poczucie zgubienia wzrosło, nadzieja na ratunek wydała się śmieszna. Tylko jeszcze jedno ostatnie spojrzenie w gąszcz masztów i kominów—tak ot, żeby później w brodę sobie nie pluć. Jedno spojrzenie—i skurcz serca. Boże,cóż się to tam chwieje, cóż to tak dzielnie sobie łopoce i powiewa na przeciwnym wietrze? Dosyć to zamorusane; widać, że niejedno przetrzymało—alećten sam kolor niewątpliwie i ten sam ptak, co w Gdyni! Pędzimy bez tchu. . .

Nie pamiętam jak się dostałam na pokład. Może po trupach tragarzy, może wbrew wszelkim przepisom? Pamiętam tylko, że w którejś chwili ktoś zapytał: "Pani szanowna, ma życzenie?" I że wtenczas upadłam na jakąś paczkę z uczuciem nieopisanego szczęścia. Owszem, po minucie zaczęto straszyć: "nie ma żadnych środków ratunkowych, nie ma wygód "—nikt jednak nie wyganiał. Nikt nie mówił inaczej, niż po polsku. Nikt nie pytał o wizy: byłam w Polsce.

Później zwaliło się jeszcze dużo ludzi, załadowano kilkuset lotników naszych i czeskich, nadjechały panie z Czerwonego Krzyża, zaczęły się dyskusje, niepokoje: dokąd popłyniemy? którędy? Czy będą miny? Czy będą bomby? Czy będą łodzie podwodne? I co zrobimy po wylądowaniu?

Późno odpłynęliśmy i repertuar urozmaiceń, zawarty w pytaniach, zaczął się powoli wypełniać. Więc i miny, i bomby, i łodzie podwodne. Nie żeby na 100%, żebyśmy musieli rzucać się w odmęty i ścigać z delfinami, ale akurat w mierze dostatecznej, żeby o jeden włos, czyli o 3 mile z ostatecznością się rozmijać.

Morze również nie najłaskawiej nas znosiło. Ciskało stateczkiem z energią, która u większości pasażerów—na złość—budziła szaloną niechęć do wszelkiego ruchu. Korzystał na tym zacny kucharz, który przez trzy doby uprawiał "cudowne rozmnożenie na puszczy." Korzystał, bo niektórym trupom nie chciało się nawet wyciągać ręki po kubek z zupą. Ale schludność cierpiała. Na pokładzie, zawalonym rozpierzchłymi tobołami, wśród zatłuszczonych papierów i kapiących puszek, obozowały istoty w "sukniach plugawych." Z jednego kraniku za kuchnią ciurkała wprawdzie słona woda, widocznie jednak miała wstręt do cywilów, bo tylko lotnicy i marynarze wychodzili z pod niej czyści, ogoleni—reszty publiki "nie mydliła."

Nocami te zasmolone, bezwładne osoby cywilne tarzały się—jęcząc—po gołych deskach pokładu, szukając litościwszego miejsca. Miejsca litościwszego nie znajdowały, bo wszystkie miejsca okrętowe udawały trzęsienie ziemi; wzdymały się i zapadały bezustannie. Ale co znaleść zawsze było można, to współczujące serce rodaka. Komuna panowała idealna, jak w pierwszej gminie chrześcijańskiej: co moje, to twoje. Najwytworniejsze walizy, takie, które zazwyczaj pod szkłem niemal bywają przez swoich właścicieli obwożone, ofiarowywano nieznajomym za podnóżki i za materace. Każda cytryna, każdy koc, każda kapka wina—wszystko szło do podziału. Szczotki do zębów nie pożyczano sobie tylko dlatego, że nikt zębów nie czyścił.

To zresztą fraszka. Egzamin prawdziwy nastawał w czasie alarmów. Na cały tłum cywilny wypadało kilkanaście pasów ratunkowych, odstąpionych kobietom przez załogę, przy czym załoga pozostała bez żadnej doprawdy możności ratunku, bo dwie szalupy pięćdziesięcioosobowe również przeznaczono "dla dam." Alarmy, owszem, wydarzyły się wcale poważne, i z kanonadą sąsiednich statków do niemieckiego bombowca i z zatopieniem jednego okrętu w naszych oczach. Otóż *à propos* "scen dantejskich," nie było u nas ani jednej kłótni o pas, nikt się nigdzie nie pchał, nikogo nie boksował, nikomu nie urągał. Trochę, na upartego, usłyszałbyś szmerów podejrzanych w rodzaju siąkania nosem i niepodejrzanych—w rodzaju litanii. Poza tym kapitan dobrotliwie chrząkał, o ile wypadło mu opuścić mostek, mechanik biegał jak oparzony, z flachą koniaku, wykrzykując "chodzącem barem jestem, proszę szanownej publiki." W przeciwieństwie jednak do większości barmanów, nie pobierał zapłaty za swoje dobrodziejstwa. Kucharz podsuwał pod najsmutniejsze twarze patelnię przysmarzonych orzeszków, lotnicy tupali po schodkach międzypokładowych, zaciągali jakieś szumne wachty, zawalali co raz inne kombinezony, wiatrówki, jak na rewii mody u Myszkorowskiego.

Jedna w tym wszystkim tkwiła zadra—Anglicy. Jechała z nami w kabinie, odstąpionej przez kapitana, angielska rodzina. Wśród najcięższych sztormów i najgłębszej nędzy cywilnej wychodzili na pokład—mama, papa i dwaj synowie—uśmiechnięci, czyściutcy, — niepojęci. O nich to był cały kłopot: co oni sobie o nas pomyślą.

No, i wreszcie, po wylądowaniu w Falmouth, kiedy znowu, na widok ziemi, i to przyjaznej, życie wstąpiło w trupy—okazało się, co sobie myślą Anglicy. Oto matka owej nieugiętej, schludnej rodziny podeszła do mnie z notesikiem i bardzo nieśmiałą miną.

— "Czy pani zauważyła obrazek, który wisiał na ścianie w naszej kabinie?"—spytała.

— "Zauważyłam. To Matka Boska Ostrobramska."

Angielka zaczęła mozolnie zapisywać po literze. Ukończywszy tę pracę, zrobiła się jeszcze czerwieńsza. I rzekła:

— Muszę wydobyć skądciś reprodukcję tej Madonny. To będzie patronka moich synów." Umilkła. —A po chwili dodała.

— "Robur III-ci, to najpiękniejszy statek, jaki znam."

Nie bardzo wiem, teraz po co to wszystko napisałam do "Polski Walczącej" zamiast artykułu. Może dla tych kilku myśli, które się cisną:

że Polska jest wszędzie tam, gdzie są zorganizowani, solidarni Polacy,

że Polacy bywają lepsi w nieszczęściu, niż w dobrej doli,

że złą dolę łatwiej jest znosić po dobroci, niż po złości.

I że Anglicy—naród żeglarski, znawcy okrętów najwytrawniejsi w świecie—oceniają statki nie tylko podług ich materialnej piękności.

Maria Kuncewiczowa

"Lasowcy" walczą

Wagon kołysał i trząsł. Pociąg ciągle przystawał, stawaliśmy w polu, rzadko na stacji. Było po deszczu i pachniała ziemia wspaniała, żyzna, francuska ziemia. Zieleń wraz z zapachem wdzierała się przez okno wagonu. Na chwilę zapominało się o zaduchu, o niepokoju stłoczonych na korytarzu ludzi.

Wtedy na chwilę przerywałem opowieść, ale wystarczało, że pociąg stał dłużej, mój sąsiad podejmował przerwaną rozmowę. Nie dawał mi spokoju, gonił mnie, kiedy wyskakiwałem z wagonu i przechadzałem się obok. Nie dawał mi spokoju, tak go niepokoiła, podniecała, ekscytowała ta prosta dla nas sprawa—sprawa wojny w Polsce.

Po dziesięć razy pytał o szczegóły, sprawdzał czy nie przesłyszał się, upewniał się, że dopiero w maju wyszedłem z Polski. Upewniał się, że byłem naocznym świadkiem wielu faktów, o których mu opowiadałem.

Trudno było mi w tym krajobrazie przepychu południa opowiedzieć, oddać surowy krajobraz Polski. Trudno było w tym zgiełku i niepokoju uciekających od wojny ludzi odtworzyć zdecydowanie Polaków. Francuz nie mógł uwierzyć, że przeszliśmy to wszystko, co oni przeszli na północy, a jednak nie zrezygnowaliśmy. Że wolność nam milsza od życia. Że wolna ojczyzna ważniejsza od wszelkiego dobra.

Mówiłem mu o ciężkiej zimie, o mrozach trzaskających, o zaspach śniegu na ulicach i o wydmuchanych przez wichry łysinach na polach. Mówiłem mu o ludziach, którzy uciekli przed internowaniem w obozach niemieckich, o ludziach, którzy nie chcieli biernie wyczekiwać pomocy aliantów. Którzy chcieli być gotowi na wezwanie.

Mówiłem o młodzieży, która ukryła się w lasach i to nie w wielkich puszczach zagarniętych przez Sowiety, ale w lasach Opoczyńskich. Mówiłem o kilku tysiącach partyzantów, którzy tam przezimowali. Jakżeż to było, że w Generalnej Gubernii, gdzie każdy kopiec kartofli jest zapisany przez administrację niemiecką, gdzie każdy młyn jest w ewidencji, gdzie z każdej kwarty mleka, z każdego jajka musi być zdany rachunek-ludzie ci nie wyginęli z głodu?

Mówiłem mu o tradycjach walk z roku 30-go i 63-go. Mówiłem o pacyfikacji niemieckiej-o paleniu wsi podejrzanych oto, że dawały pomoc "lasowcom" (tak nazywają się żołnierze z partyzantki), o spaleniu trzech wsi wraz z zamkniętymi w chałupach mieszkańcami, o głodzie w miasteczkach ukaranych odebraniem kartek żywnościowych. Mówiłem, że pomimo wielkich nagród wyznaczonych przez Niemców, nie było ani jednej zdrady. Partyzanci przez całą zimę ukrywali się w lasach, po wsiach pobliskich, po leśniczówkach. Wciągnął ich przedwcześnie w zasadzkę sfałszowany rozkaz, nadany przez radio, a wydany jakoby przez generała Sikorskiego, rozkaz by wystąpić, bo armia generała Weyganda jest już Rumunii.

I tak powoli, w tok moich słów, zmieniał się krajobraz przesuwający się przez ekran okna. Nie widziałem już wspaniałej roślinności południa, ale szosę jak strzelił prostą, przez lasy Spały, potężne konary wielkich sosen. Poczułem zapach igieł i mchu. Turkot wagonu utożsamił się z turkotem wózka na szosie. Jadę tym wózkiem w stronę Skarżyska. Jest druga połowa kwietnia. Skarżysko w tych dniach było przez 24 godziny w rękach partyzantów. "Lasowcy," którzy zabrali stamtąd moc amunicji, zostali wyparci przez regularne wojsko niemieckie do lasów. Samoloty niemieckie "macały" te lasy. Jakie były straty nie wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy o ujęciu i rozstrzelaniu sześciu księży, którzy wieźli do lasu ostatnie sakramenta. Wiedzieliśmy o rozstrzelaniu dwuch panów Cylińskich, ziemian z Korytkowa, którzy wydali owies i konie "lasowcom." Starszy pan Cyliński padł, trzymając w ręce kartkę: "Kwituję odbiór pięciu worków owsa-wachmistrz Wojska Polskiego-N.-(nazwisko) ".

Zmienił mi się krajobraz, już nie ma lasu. Jest wieś i chata kowala. Czekam na przybicie podkowy u mego siwka. Czekam, bo kowal pracuje przy innym koniu. Koń piękny, skóra lśni się na nim. Młodzieniec w wysokich butach, kożuszku i czapce baraniej na głowie—ot, zwykły chłopak ze wsi, pochylony pomaga kowalowi, trzymając kopyto konia. "Skończone", mówi kowal, "żadnej zapłaty". Chłopak wyprostował się i roześmiał, i od tego śmiechu kożuch mu się rozchylił i zobaczyłem cztery rewolwery, zatknięte po dwa z każdej strony za pasem. Potem dosiadł konia i wolniutko odjechał. Zerwała się zadymka, choć to był kwiecień. Śnieg nam go zasłonił. "Lasowiec" - mrugnął porozumiewawczo kowal, "szczęście cholerne mają w tej brawurze". Ale ja nie wiedziałem, kto z większą brawurą wyzywał szczęście-chłopak z lasu, czy kowal, podkuwający konia "lasowca," bo właśnie za mną jechała bryczka, a w niej czterech oficerów niemieckich.

Nie wiem, czy opowiedziałem to memu towarzyszowi podróży, czy tylko przeżyłem we wspomnieniu. Wyrwały mię z niego i sprowadziły znów na gallijską ziemię słowa Francuza:

—"Niech pan nie myśli, mój młody Polaku, że choć może i są Francuzi, co już przymierzają się do życia w innych warunkach, do życia podyktowanego normami cudzych praw, że słowa: *liberté, égalité, fraternité* — zostaną kiedykolwiek usunięte, mimo iż często są zasłonięte, szyldami rozmaitych bistrów, bulanżerów, czy innych grand-magazynów. Szyldy pójdą na barykady, a te trzy małe słowa zostaną na nowo odsłonięte najpierw w naszych sercach, a potem na reprezentacyjnych gmachach Francji".

Andrzej Lenczewski

Lewą stroną!

Dziwny naród, dziwny i uparty, ci Anglicy! w ogóle pytanie, czy oni są ulepieni z tej samej gliny co n.p.my! Mam poważne wątpliwości! Nie dam się uwieść pozorom i teraz dopiero zaczynam rozumieć pewnego Holendra, niejakiego p. Rénier, który wydał książkę p.t. "Czy Anglicy są ludźmi?" i udowodnił czarno na białym, że ani się śniło. Świat jest zamieszkały przez ludzkość i przez Anglików.

Im dłużej tu siedzę, tym bardziej przyznaję rację temu Holendrowi. To nie są ludzie, w każdym razie nie ludzie normalni. Weźmy jakikolwiek drobiazg, n.p. to chodzenie lewą stroną ulicy. Niby głupstwo, ale przecież dowodzi uporu z ich strony. Cóżby szkodziło im zmienić ten przepis, który na prawdę nie ma najmniejszego sensu. Lewą stroną! Kto widział, żeby chodzić lewą stroną! I dlaczego? Niech udowodnią, że tak jest lepiej! Poza tym powinni bodaj trochę liczyć się z naszymi przyzwyczajeniami, ale ani im to w głowie. Ileż z tego może być nieszczęśliwych wypadków! Gdyby tylko chcieli, mogliby dla nas zrobić to drobne ustępstwo. Ale nie chcą!

Idźmy dalej! Czy to nie jest dziwaczne, żeby n.p. pieniądz, normalny pieniądz, dzielił się nie na dziesięć części, jak Pan Bóg przykazał, ale na dwanaście? Czysty nonsens, który ma na celu chyba tylko utrudnianie życia uchodźcom, zasługującym przecież na jakie takie względy. Czy oni zdają sobie sprawę z tego, ile pomyłek popełnia każdy z nas! Daruję już taki szczegół, jak niczym, absolutnie niczym nieuzasadniona różnica między funtem a gwineją, ale tych dwanaście pensów musimy uznać po prostu za szykanę, których napotykamy całe mnóstwo na każdym kroku. Dowodzą one uporu graniczącego z absurdem.

Albo ta wymowa ich i pisownia! Bądź co bądź, jakby nie było, obecny desant polski trzeba obliczyć na jakieś trzydzieści tysięcy Polaków obojga płci i obojga wyznania. Zważmy, że sam Cezar w pierwszym swoim rajdzie brytyjskim miał zaledwie dwa legiony, czyli 10,000 ludzi, którzy embarkowali się w Boulogne, aby na dłużej korzystać z billetingu. Tak samo inwazja Wilhelma zdobywcy ograniczała się do niespełna dziesięciu tysięcy ludzi a nas jest trzydzieści tysięcy, w czym coraz więcej legionistów z Ryszankiem Lwie Serce na czele.

Czego się nie robiło dla Cezara czy dla Normanów, można zrobić dla nas, można pomyśleć o jakichś, bodaj drobnych ułatwieniach pisowni i wymowy. Taki olbrzymi nalot polski nie odbił się najmniejszym nawet echem w ortografii czy w ortofonii angielskiej, która przecież powinna służyć dla cudzoziemców. Tabaka dla nosa czy nos dla tabaki? Niestety, nawet przez mikroskop nie widzimy na tym polu najmniejszych usiłowań. Mówią i piszą po dawnemu, zupełnie tak, jakby nas tu nie było. Również i młode pokolenie tubylców nie raczy zastosować minimum grzeczności wobec cudzoziemca biletingowego i nawet małe dzieci mówią płynnie po angielsku, ledwie od ziemi odrosły.

Po dawnemu chodzą lewą stroną ulicy i, co ważniejsze, niezmiernie mały odsetek Anglików zaczął uczyć się po polsku. Nie chcę być pesymistą, ale wydaje mi się, że zaledwie jakiś milion Anglików, i to już licząc razem ze Szkotami, sprawił sobie podręczniki i bierze lekcje języka polskiego, choć nas jest tu tyle tysięcy. Nadto, nie zmienili swych form, zwyczajów, obyczajów, skutkiem czego nie umieją się do nas zastosować, co wymagało by tylko odrobiny dobrej woli z ich strony. Cóż kiedy nie chcą!

Mądry powinien w tym wypadku ustąpić, zatem kupiłem sobie kilka angielskich savoir vivrów i zaczynam je obkuwać, wzruszając ustawicznie ramionami i kręcąc głową. Naprawdę dziwny naród! Nie mniej trzeba postępować tak, jakby nas nic nie raziło, trzeba jakoś dostosować się do tła, trzeba udawać, że ich zwyczaje mają jakiś sens. Najbardziej niemiła rzecz polega na tym, że oni w lot poznają Polaka. Co więcej tak było zawsze! To już jakieś przekleństwo! N.p. sto lat temu z górą przyjechał do Londynu Polak, niejaki Kordian, który, jak wielu aktualnych Polaków, tytułował się chętnie hrabią. Usiadł w pewnym parku londyńskim, zapłacił dozorcy szylinga, a ten mu zaraz powiada: " Pan mój jak lord płaci, a jak lord siadać nie umie!" Widzicie, państwo! Impertynencja, która i nas bardzo często spotyka. Może z tej przyczyny, że nie płacimy jak lordowie. No, nie stać nas na to.

Uparty naród, jednak podpisali z nami umowę wojskową, która dla naszego żołnierza jest czymś w rodzaju "Magna Charta," zatem każdy z nas powinien im okazać trochę zrozumienia. I mniejszość stać niekiedy na pewien gest! Kupiłem nie tylko podręcznik dobrych manier, które będę wykładał systematycznie w izbie gmin na Fullham, ale także zrujnowałem się na historię Anglii. Znowuż w tej historii spotykam całą masę dziwactw, które studiując, zaczynam coraz lepiej rozumieć czas teraźniejszy.

Pozwolę sobie zacytować z tej historii pewien drobiazg. Oto w roku 1588 groziła Anglii olbrzymia inwazja hiszpańska i 19-go czerwca ujrzano statki Wielkiej Armady u brzegów południowych. Dowódca floty, sir/jakiż to bezsensowny tytuł, ten "sir"!/sir Drake znajdował się w Plymouth, w tym samym Plymouth, gdzie i my, paraszutyści polscy, wylądowaliśmy niedawno z larwami angerskimi i piernatami libourneńskimi. Otóż Armada zbliża się, a sir Drake gra sobie najpokojniej w świecie, mianowicie gra w kręgle. Nie w bridge' a, tylko w kręgle. Ogłoszono alarm, ale sir Drake oświadcza, że najpierw musi skończyć swoją grę. Istotnie, skończył grać a potem dopiero skończył Wielką Armadę. Wykończył ją sumiennie, pedantycznie, po angielsku.

Bardzo ciekawy epizod, prawda? A jest ich więcej w historii tego upartego narodu. Czytając odległe dzieje, patrzymy znacznie jaśniej w przyszłość, bo też Anglicy mają wielką rutynę, jeśli idzie o inwazje i o wygrywanie wojen. Mają także wprawę w organizowaniu blokad. N. p.za czasów Elżbiety i później w epoce Napoleońskiej.

Nie mogąc im w żaden sposób trafić do przekonania, wejdę na drogę kompromisu i, począwszy od przyszłego tygodnia, będę się starał co drugi dzień chodzić lewą stroną ulicy. Niech będzie moja strata!

Trzeba im pomóc w walce z naszą inwazją!

Zygmunt Nowakowski

TYPY OBOZOWE



















Rysował Feliks Topolski

Dekoracja Brygady Podhalańskiej

Słoneczny dzień, tak piękny jak niewiele w roku posiada wiecznymi mgłami owiana ziemia szkocka, nadał właściwe ramy uroczystości podhalańskiej, jaka się odbyła *somewhere in Scotland* "gdzieś w Szkocji" owego niedzielnego ranka, 21 lipca br. Nagrzane słońcem lasy sosnowe i świerkowe słały nam wonie, przenosząc raz po raz myśli uczestników uroczystości do okolic, których nazwę poniósł żołnierz podhalański ku śnieżnym szczytom Norwegii, skąd uskrzydlona sławą dostała się na usta całego świata, jako *Polish Highland*.

Był to zatem jak gdyby dzień podhalański w Szkocji. Przybył Wódz Naczelny polskich sił zbrojnych, Gen. Wł. Sikorski, w otoczeniu swego sztabu i oficerów angielskich, aby po wysłuchaniu Mszy św. polowej dokonać dekoracji sztandaru Brygady Podhalańskiej wstęgą orderu Virtuti Militari, oraz nadać to odznaczenie oraz Krzyże Walecznych, oficerom i żołnierzom za kampanię norweską.

—"Za to, że imię Polski i sławę oręża polskiego, rozsławiliście na cały świat, dekoruję wasz sztandar orderem "Virtuti Militari" —mówił Gen. Sikorski.

Pokraśniały od wstążeczek orderowych szare, poniszczone, wybiedzone mundury wojenne. . . Pierwszy raz w dziejach Polski odbyła się taka dekoracja wojskowa na obcej ziemi.

Dekoracja skończona. Pękają sztywne kolumny żołnierzy. Wszyscy cisną się do odznaczonych, by uścisnąć ich dłonie, popatrzeć w zamglone wzruszeniem żołnierskim oczy.

Drugi punkt uroczystości przenosi nas pod stylową bramę, na której szczycie rozwija się na wietrze biało-czerwony sztandar. Tylko Polak zrozumie moc tego symbolu, ujrzanego po dziesięciu miesiącach tułaczki, tu nad głowami maszerujących szeregów armii polskiej, a pod wolnym niebem brytyjskim! W oczekiwaniu na defiladę trwamy w tak poważnym milczeniu, iż chwilami słyszę łopot tej chorągwi, wznoszącej się wysoko nad nami. Niechże ta chwila, kiedy popłynie ona przed nami do oswobodzonej przez naszych żołnierzy ziemi rodzinnej, stanie się jak najprędzej rzeczywistością.

Gen. Sikorski nadchodzi w towarzystwie Gen. Burckhard-Burkackiego i Gen. Dreszera, oraz angielskich gości. To generałowie Wigs i Brigg, Lord Provost Glasgowa, Mr. Dollan oraz konsul honorowy polski w Glasgowie, Mr. Whitelaw. W gronie dziennikarzy sprawozdawcy "Glasgow Herald," "News Chronicle" oraz Ewa Curie, jako sprawozdawczyni pism amerykańskich.

Z za zakrętu drogi leśnej wychylają się pułki za pułkami w karnym ordynku i paradowym krokiem wybijają ostry rytm. Postawa naszych wojsk i nieznany w Anglii ich paradowy krok, robią jak najlepsze wrażenie na gościach angielskich. Idą w ruch aparaty fotograficzne i filmowe. Będziemy oglądali zdjęcia w pismach angielskich i w kinoteatrach. Oby ich było jak najwięcej, bo publiczność angielska jeszcze przed kampanią norweską i francuską, wyrażała chęć jak najczęstszego oglądania sprzymierzonych z Anglią wojsk polskich.

Defilada trwała około trzech kwadransy, przerywana oklaskami obecnych, przypominając żywo różne defilady w wolnej Polsce w paradnych mundurach, z udziałem wojsk technicznych, orkiestr i całego należnego splendoru. Tu nie wiele było z tego. Ale zaiste żadna z poprzednich nie mogłaby się porównać w nastroju z tą chwilą jakże osobliwą.

A potem na innym miejscu w obozie słucham twardych, męskich słów Naczelnego Wodza do żołnierzy, wzywającego do karności, posłuszeństwa i wypełniania wszystkich obowiązków. Zanim wojska nasze pójdą w nowe boje, czeka je tu na nowym dla nich gruncie wielka praca nad zreorganizowaniem się po francuskiej kapitulacji. Poświęcenie się Brygady Podhalańskiej dla sprawy będzie dla nich żywym przykładem.

Padają jakieś jeszcze rozkazy, rozpęka się czworobok, w którego kręgu stał Gen. Sikorski w otoczeniu wyższych oficerów, i Wódz Naczelny odjeżdża na inspekcję innych obozów.

***

Gościnni Podhalanie zaprosili grono dziennikarskie do swych namiotów, racząc wytworami kuchni polowej, zdobycznymi sardynkami norweskimi, polską bodajże szynką z puszek i bigosem. Rozmawiamy z kolegami angielskimi, którzy zachwycają się postawą polskiej armii, widzianej po raz pierwszy w całej okazałości.

***

Gen. Sikorski spędził trzy dni w Szkocji, odwiedzając także rannych żołnierzy z pod Narwiku w okolicznych szpitalach.

Na zakończenie pobytu Gen. Sikorskiego wydany został obiad przez miasto Glasgow. W przemówieniu Lorda Provosta Mr. Dollana, odzwierciadlały się refleksy serdecznych węzłów, zadzierzgniętych pomiędzy Polakami a Szkocją. Przypomniał on, iż w XVI wieku szkoccy kupcy pozostawali z Polską w bardzo ożywionych stosunkach handlowych. Nadszedł moment, kiedy mogą odpłacić się ich potomkowie za gościnę, w Polsce doznawaną.

Odpowiadając na to, wskazał Gen. Sikorski na rolę Polski ówczesnej i dzisiejszej jako najdalej na wschód wysuniętego bastionu obronnego cywilizacji chrześcijańskiej. To Polska pierwsza dzisiaj z pośród zagrożonych przez barbarzyństwo niemieckie narodów, podjęła walkę w imię obrony najwyższych ideałów ludzkości. Wielka Brytania walczy i walczyć będzie do końca o te same sprawy. Stąd przyjaźń nasza nie może być przemijająca.

Przyjaźń tę nawiązali już ze Szkocją i gościnnymi Szkotami, żołnierze polscy. Będą oni tutaj bronić tej ziemi przed inwazją wspólnego wroga. Choć Hitler przybiera teraz pozy Napoleona, koniec jego nie będzie lepszy, bo bliski jest czas, kiedy wszystkie narody miłujące wolność podniosą się przeciwko niemu i przy pomocy Anglii zgotują mu los gorszy od końca Napoleona.

W ostatnim dniu swego pobytu w Szkocji, pojawił się Gen. Sikorski na koncercie Chóru W.P. w sali Ateneum, gdzie był przedmiotem żywiołowej owacji ze strony publiczności.

W obszernych sprawozdaniach prasy glasgowskiej odbijał mocno ten ton uznania. Największe wrażenie sprawił na religijnych Szkotach moment z Mszy św. polowej, kiedy całe wojsko padło na kolana i pochyliły się sztandary. Nie szczędzą przytem wyrazów podziwu dla dwóch dzielnych Polek, dekorowanych wraz z Brygadą Podhalańską, które brały udział w wyprawie norweskiej, niosąc ofiarną pomoc rannym. To Dr. Zielińska i p. Gorczyńska. Moment dekoracji polskich wojsk przypomniał miejscowym gościom historyczne wydarzenia o podobnym charakterze, jakie odbywały się na wzgórzach szkockich. Poważny, religijny niemal nastrój uroczystości polskiej, podkreślany jest również w sprawozdaniach prasy szkockiej. *Jadwiga z Glasgowa*

Przegląd polityczny

W jednym z pierwszych numerów "Polski Walczącej" pisaliśmy:

"*Rola dziejowa Rzeczypospolitej uwidoczniła się natychmiast po odrodzeniu państwa polskiego —i jej historyczną doniosłość stwierdzają na oczach Europy i świata najnowsze wypadki. Gdy w naród polski uderzyło na jesieni* 1939 *roku nieszczęście, gdy armie niemiecka i rosyjska zalały terytorium Rzeczypospolitej-runęła faktycznie niepodległość Estonii i Łotwy, zagrożona została niezależność Litwy, co raz groźniejsza staje się sytuacja Rumunii i Węgier. Od pożaru, który zniszczył nasze miasta—padły iskry na chaty dalekiej Finlandii i wybuchy bomb, rzucanych na Warszawę, odezwały się natychmiast złowrogim echem w Helsinkach, w Abo, w Kuwali i na przesmyku Karelskim. . . Trzeba dopiero wstrząsu, trzeba krzyku brutalnych faktów, aby nie tylko w Tallinie, Rydze i Helsinkach, ale i w Belgradzie zrozumiano to niebezpieczeństwo, jakim grozi kulturze łacińskiej i całej europejskiej cywilizacji klęska Polski. . .*"

Słowa powyższe nie były żadną przepowiednią; wyciągaliśmy tylko wnioski z historycznych i geograficznych pewników — i dlatego potwierdzenie ich w lipcu 1940 przyjmujemy jako wynik rachunku, który musiał być ujemny. Niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii przestała istnieć nie tylko faktycznie, ale i teoretycznie. Reprezentacje tych krajów—między nimi faszyzujący "parlament" litewski—uchwaliły "połączenie się ze Związkiem Sowietów." A w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech nie mówi się już o "niezależnej polityce narodowej." Mamy tam rozpaczliwe wahania przed rzuceniem się w lewy lub prawy brzeg przepaści: poddanie się Niemcom lub Rosji.

Rumunia, którą Stalin okroił bardzo silnie, wymuszając oddanie Bukowiny i Bessarabii—*zdecydowała się na Niemcy*. Król Karol słał depeszę za depeszą do Berlina—i wreszcie otrzymał upragnione rozkazy. Za niezbyt wyraźną nadzieję pomocy, ma Rumunia wystąpić przeciwko Anglii. I o to mamy pierwszy akt upokarzającego widowiska: państwo, które ma wszystko do zawdzięczenia zwycięstwu WBrytanii, kraj, który jeszcze rok temu otrzymał gwarancję ze strony Anglii na wypadek ataku n i e m i e c k i e g o — *konfiskuje własność angielską, wypędza brytyjskich inżynierów i zatrzymuje holowniki i statki angielskie na Dunaju.* Król Karol sądzi, że uda się mu w taki sposób zjednać Hitlera i Mussoliniego. W najlepszym razie odwlecze tylko o jeden lub dwa miesiące utratę Dobrudży i Siedmiogrodu. I kto wie, czy parlament bukaresztański nie będzie zmuszony w krótkim przeciągu czasu do powtórzenia gestu Hachy, to jest do dobrowolnego ofiarowania całej Rumunii Niemcom. .

Na kartę włosko-niemiecką stawia również Bułgaria. Natomiast Jugosławia podejmuje wszystkie wysiłki, aby zbliżyć się do Moskwy i otrzymać jakie takie gwarancje ze strony sowieckiej. Jeszcze raz pojawia się los w roli nieubłaganego ironisty: Jugosławia, która twierdziła, że "uznanie Sowietów jest sprzeczne z prawnymi podstawami istnienia państwa jugosławiańskiego," Jugosławia, która naśladując fatalne chwyty "mocarstwowej i niezależnej" polityki łudziła się trafnością polityki Stojadinowicza i przyjaźni z Berlinem oraz Rzymem—ta sama Jugosławia wyczekuje jak zbawienia przyjazdu wysłanników Stalina i zawarcia oficjalnego przymierza z Moskwą. . .

Cały osławiony blok bałkański rozpadł się, jak domek z kart. Na początku 1939 roku, kiedy można było jeszcze uratować wszystko—pisaliśmy, że "*Europa Środkowa albo się zjednoczy w poczuciu wspólnych interesów—albo też poszczególne jej państwa będą padały jedno po drugim, jak kręgle bilardowe.*" Sprawdza się, niestety, to drugie przypuszczenie. . .

Zagadkowa jest w tej chwili polityka Rosji. Na razie Stalin naśladujący Piotra Wielkiego zbija sowieckim kułakiem mocno nadwyrężony przez wojnę i rewolucję gmach imperium rosyjskiego i korzysta z zachodnich kłopotów Trzeciej Rzeszy. Jaki jest jednak prawdziwy stosunek bolszewickiego dyktatora do nazistowskiego Führera? Czy dalsze podtrzymywanie paktu z sierpnia 1939 i spółka z bardzo zresztą ograniczoną poręką? Czy początek rywalizacji, która wcześniej lub później musi doprowadzić do decydującej rozgrywki?

Wszystko zależy od dalszego rozwoju wypadków. Jeżeli Niemcy zaczną ponosić klęski-wówczas prędzej czy później zgłosi Moskwa swe "święte prawa" do nafty rumuńskiej, Bułgarii a może również do cieśnin Bosforu i Dardaneli. Na razie jednak, zarówno w Berlinie, jak i w Moskwie wystrzegają się staranne odsłonięcia kart. Hitler uważa pogłoski o nadwyrężeniu paktu z Moskwą za bezsensowne, Stalin omija drażliwe tematy—i rozbiór Europy trwa w dalszym ciągu.

Lecz to jeszcze nie koniec. Do końca jeszcze daleko—i stąd całkiem zrozumiała wzajemna niechęć i w Berlinie i w Moskwie.

tk

Wybory amerykańskie (II)

W poprzednim moim artykule* wyjaśniłem, że co do polityki zagranicznej, to znaczy stosunku do wojny obecnej, nie ma różnicy między dwoma kandydatami na prezydenta Stanów Zjednoczonych: kandydatem demokratycznym Rooseveltem i kandydatem republikańskim Willkie'm. To znaczy, że walka wyborcza, a będzie ona niezwykle ostra, rozegra się wyłącznie w płaszczyźnie polityki wewnętrznej. Nie będzie to walka dwóch partii: republikanów i demokratów, będzie to więcej, bo będzie to walka—o ustrój społeczny Ameryki.

W Stanach po dziś dzień istnieje system dwupartyjny. Wszelkie próby stworzenia trzeciej partii spotykały się z niepowodzeniem. Było tak nawet, gdy w 1913 roku tę trzecią partię chciał stworzyć najpopularniejszy owego czasu człowiek w Ameryce, były prezydent Teodor Roosevelt. Istnieją co prawda w Ameryce partie socjalistyczna i komunistyczna, ale ilość głosów oddawana na kandydatów tych partji w wyborach prezydenckich nie przekroczyła nigdy kilkuset tysięcy.

Co jest specjalnie zadziwiające dla Europejczyka, to to, że te partie właściwie nie różnią się między sobą ani zasadniczymi programami, ani stosunkiem do spraw społecznych, że nie można jednej z nich określić jako konserwatywną, a drugiej jako postępową, jednej jako prawicę, a drugiej jako lewicę. Różnią się one stosunkiem do poszczególnych bieżących kwestji (stąd konieczność opracowywania na nowo szczegółowych platform wyborczych przy każdych wyborach), a przede wszystkim różnią się tradycją.

Republikańska partia powstała w roku 1856, jako partia antyniewolnicza, demokraci to potomkowie zwolenników niewolnictwa. I dlatego po dziś dzień całe południe Stanów, jak jeden mąż głosowało na kandydatów demokratycznych (*solid South*— "solidne Południe" — mówią Amerykanie), północ zaś przeważnie głosowała na republikanów. Że północ jest bardziej zaludniona, przeto zasadniczo od czasów Lincolna prezydentura prawie zawsze bywała w ręku partii republikańskiej. Dwóch jedynie demokratów od tego czasu aż do 1932 roku zasiadło w Białym Domu: Grover Cleveland od roku 1885 do roku 1889 i od roku 1893 do roku 1897 i Woodrow Wilson od roku 1913 do roku 1921. Oba te razy wybór kandydata demokratycznego był umożliwiony jedynie rozłamem w partii republikańskiej.

Już pierwszy wybór Franklina Roosevelta w roku 1932 znamionował, że coś w amerykańskim systemie partyjnym zaczyna się zmieniać. Roosevelt został wtedy wybrany olbrzymią większością, stany odwiecznie republikańskie jemu oddały swój głos. Tłumaczyło to się tym, że partia republikańska była głęboko skompromitowana. Następca Wilsona, Harding, otoczył się był łapownikami i aferzystami, śmierć jego była niezwykle tajemnicza. Rządy Calvina Coolidge cokolwiek poprawiły sytuację partii, ale potem przyszedł Hoover i najstraszliwsza w historii Stanów katastrofa gospodarcza. *The man in the street*, szary człowiek, nie za samą katastrofę co prawda, ale za to, że nic nie uczyniono, by skutki jej złagodzić czynił odpowiedzialną rządzącą partię i prezydenta, który jedynie umiał co miesiąc powtarzać: "Osiągnęliśmy już dno depresji, za miesiąc będzie lepiej." Roosevelt więc był wybrany nie przez partię, ale przez masy ludowe.

Prezydent Roosevelt dotrzymał obietnic kandydata. Rozpoczął się *New Deal*—"nowe rozdanie kart." Dawniej Ameryka była krajem "swobody." Znaczyło to, że państwo nie wtrącało się w stosunki gospodarcze i społeczne, pozostawiając "wolnej grze sił" stosunki między kapitałem a pracą, układ stosunków ekonomicznych. Nie było ubezpieczeń społecznych, nie było zasiłków dla bezrobotnych, prawie że nie było prawodawstwa pracy. *New Deal* chciał to wszystko zmienić. Roosevelt dążył do ustawowego określenia warunków pracy i płacy, do przeprowadzenia szerokiego ustawodawstwa społecznego, do ograniczenia trustów i wielkich przedsiębiorstw, do zorganizowania robót publicznych dla walki z bezrobociem.

Wall Street—giełda nowojorska i *Big Business*—wielki przemysł patrzyli na Roosevelta, jak na Antychrysta i zwalczali go wszelkimi siłami. W partii prawe skrzydło, reprezentowane przede wszystkim przez senatorów z południa nieraz łączyło się z republikanami, ażeby obalić w Kongresie projekty Rooseveltowskie. I zaczęły się nawet kruszyć kadry partyjne. Dzisiejszy dyrektor Biura Międzynarodowego Pracy John Wynand był senatorem republikańskim. Zerwał ze swą partią, ażeby popierać poglądy społeczne Roosevelta i prowadził kampanię za nim przed drugimi wyborami. A dzisiejszy kontrkandydat Roosevelta Wendell Willkie przeszedł do republikanów, gdy Roosevelt przeforsował Tennessee Valley Act—ustawę o elektryfikacji doliny Tennessee przez przedsiębiorstwo państwowe, czym uderzył w interesy trustu elektrycznego, którego Willkie był prezesem.

Przy ponownym wyborze Roosevelta partia poszła jednak cała za nim. Zdawała sobie sprawę z tego, że jedynie Roosevelt, za którym będą głosowali bezrobotni, robotnicy, mali farmerzy może poprowadzić demokratów do zwycięstwa. Różnice między prezydentem a prawym skrzydłem partii pogłębiały się jednak ciągle. Co prawda reformatorska działalność Prezydenta była dużo ostrożniejsza w tym d r u g i m czteroleciu mimo to parlament i w tym czasie udaremnił cały szereg "bolszewickich" reform.

Gdy szło teraz o trzeci wybór-jednomyślny, bo znowu partia sobie zdała sprawę, że jedynie Roosevelt ma szanse przeciw Willkiemu, starano się, aby zagwarantować kompromisowość polityki społecznej przez narzucenie Rooseveltowi jako kandydata na wiceprezydenta jednego z reprezentantów prawicy partyjnej. Roosevelt jednak ten kompromis odrzucił. Jako kandydata na wiceprezydenta wystawił swego ministra rolnictwa Wallace'a, swego najbliższego współpracownika właśnie w zakresie reform społecznych.

Sprawa jest więc jasno postawiona. Przeciwko człowiekowi *Wall Street*, Willkiemu, Roosevelt stawia swoją kandydaturę, jako reprezentant szarego człowieka, jako reformator społeczny. I już cały szereg senatorów i posłów demokratycznych oświadcza, że będzie popierało wybór Willkie'go. Zamiast tradycyjnego partyjnego podziału zarysowuje się w Ameryce podział według nastawień i interesów społecznych. Dla tego rezultat wyborów amerykańskich będzie miał olbrzymie znaczenie. Może także dla jutrzejszego kształtu Europy.

X X X

*Por. nr. 20 "Polski Walczącej." Należy w nim sprostować następujący szczegół: w głosowaniu na kandydatów partii demokratycznej Roosevelt otrzymał nie 46, ale 946 głosów, gdy czterej jego "rywale" otrzymali łącznie 147 głosów.

WYDAJE WYDZIAŁ PROPAGANDY I OŚWIATY SZTABU NACZELNEGO WODZA.
Adres Redakcji i Administracji: 23 Beaumont St., London, W.1.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clement's Press, Portugal St., Strand, W.C.2.